



N<sup>o</sup> 391.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 23 marca 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.  
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Wyjątek z ballady Mickiewicza „To lubię” (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Kronika zagraniczna (dokończenie). — Pożar warsztatów drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej (z drzeworytem). — Zamek w Wiśniczu (drzeworyt). — Wystawa paryzka. — Wrażenia z podróży (dalszy ciąg). — Kościół serca Jezusowego w fortecy Groźnej na Kaukazie (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Cicha woda brzegi rwie, (przysłowie dramatyczne). Dalszy ciąg. — Antoni Oleszczyński. — Przegląd teatralny. — Przedmiot obrazu Simmlera. — Helena, powieść. (Dalszy ciąg).

Wyjątek z ballady Mickiewicza  
„TO LUBIĘ”

Ledwiem dokończył aż, straszna martwica,  
Wypływa z blizkich wód toni;  
Białe jej szaty, jak śnieg białe lica,  
Ognisty wieniec na skroni.

Wkrótce się niebem pochlubię;  
Boś ty czyścowej zbawił mię katuszy  
Tém jednym słówkiem: *To lubię.*

Raz gdy do Ruty jadę w czas noclegu,

Chciałem uciekać, padłem zalekniony,  
Włos dębem stanął na głowie;  
Krzyknę: niech będzie Chrystus pochwalony!



Układ i rysunek Gierymskiego.

Na moście z końmi wóz staje,  
Próżno woźnica przynagła do biegu,  
Héj! krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potem skoczą z całej mocy,  
Dyszel przy samém pękł szrubie;  
Zostać na polu samemu i w nocy,  
*To lubię, rzekłem, to lubię!*

„Na wieki wieków” odpowie.

„Ktokolwiek jesteś, poczciwy człowieku,  
Coś mię zachował od męki,  
Dożyj ty szczęścia i późnego wieku,  
I pokój tobie i dzięki.

Widzisz przed sobą obraz grzecznej duszy,

Kronika tygodniowa.

Nie pamiętam już który autor opisywał wszystkie  
męczarnie, przez jakie najzwyczajniejsi i najmniej  
do męczeństwa pretensyi mieć mogący ludzie prze-  
chodzić muszą.

Otóż w tém wyliczeniu zapomniał on o jednej



męce, która niewiele czuć się daje, ale tęp dotkliwej tych nieszczęśliwych trapi, im mniej bywa oceniana przez innych.

Męką tą jest pisanie felietonu w pochmurny dzień, kiedy słońce skryło się gdzieś daleko za obłoków zasłoną, śnieg pomieszany z deszczem bije o szyby, a wiatr wygwizduje jednostajną swoją piosenkę.

Bo dobry i wesoły artykuł w dzień pogodny napisać, to nie sztuka. Wraz ze słońcem uśmiech wchodzi do duszy, myśl się rozjaśnia, werwa promienieje. Kiedy na dworze jasno, to i w człowieku jaśniej. Jak noc i ciemności wydają się śmiercią natury (chwilową na szczęście) tak samo deszcz, mgła i niepogoda wydają się chorobą. Więc kiedy natura cierpi na melancholię, cóż o człowieku powiedzieć? I dlatego nie miejcie mi za złe, czytelnicy, jeżeli będę dziś nudniejszym niż zwykle; nie moja zaiste w tym wina, ale tego pierwszego dnia wiosny, który trochę na początek zimy wygląda.

\* \* \*

Mógłbym wprawdzie z tej ślizgoty, co właśnie, ze szkodą nóg, żeber i t. d. rozpanowała się na ulicy, wyciągnąć jakie porównania do życia naszego, w którym także pewno bardzo stąpać trzeba, żeby w ten lub ów sposób karku nie nadkręcić; ale wołę powiedzieć wam parę słów o... galoszach. Niewiadomo dlaczego ten sprzęt u nas nieodzowny, wzbudza największą pożądlivość złodziejów salonowych. Jedne tylko kapelusze mogą z nimi współzawodniczyć w tym względzie. Z nowym kapeluszem albo z nowymi galoszami nie pokazują się na żadnym większym zebraniu, bo z pewnością zostaniesz okradziony. Musiałbyś chyba, dla uniknięcia tej smutnej ostateczności, wejść z kapeluszem na głowie i z galoszami na nogach, a wiadomo że to u nas nie jest jeszcze w modzie. Może z czasem to i przyjdzie, przy coraz większej swobodzie jaka się zagnieżdza w pewnych towarzystwach; dotychczas jednak trzeba galosze zostawiać w przedpokoju, a wówczas, jeżeli są nowe i porządne jeszcze, śmiało z nimi pożegnać się można.

Uwagi te nastęrczył nam wypadek, który świeżo miał tu miejsce.

Na pewnym prywatnym koncercie salonowym, (a wiadomo ile tych koncertów odbywa się obecnie w Warszawie) zebrała się znaczna liczba gości. Program mającej się wykonać muzyki piękny był i obfity bardzo, tak że zanim ucichło echo ostatniego akordu fortepianowego i ostatniego pociągnięcia smyczka po strunach, zebrani, spojrzawszy na zegarki, uznali jednoznacznie, że ostateczny termin wydalania się już nadszedł. Więc zaczęto się cisnąć do drzwi i tłumnie wychodzić. Ci którzy szczęśliwym zrządzeniem znaleźli się pierwsi u wyjścia, odszukali w całości wszystkie swoje, a nawet widocznie i nieswoje efekta, bo z nieszczęśliwych na których szary koniec przypadł, mało kto już znalazł złożone przy wyjściu w przedpokoju galosze. Nastąpiły więc, jak zwykle w takich razach, użalenia i łajania na posługującego, najwięcej zaś żalił się i łajał pewien bawiący tu chwilowo cudzoziemiec, który nie mógł się pogodzić z myślą, iż niektórzy z tych wyfraczonych i mówiących po francuzku panów tak niesumienne przyswoili sobie cudzą własność. Że jednak wszystkie wyrzekania nie w takich razach nie poradzą, trzeba było wsiąść w dorożkę i jechać do... restauracji, bo żołądek dopominał się także o swoje prawa, a przy najznakomitszej nawet muzyce głodnym być można.

Zajechawszy do restauracji, pierwszym staraniem naszego cudzoziemca było odbyć rewizję w przedpokoju, gdzie najbaczniej przejrzał cały dobór pozostawionych tam przez gości galoszy. Po wypróbowaniu kilku z nich, zdarzyła się para zupełnie nowych, która doskonale mu do nóg pasowała; przywdział ją więc z najzimniejszą krwią i z obawy żeby jej znowu mu nie zamieniono, poszedł wieczerać do osobnego pokoju.

— Pan się omyliłeś, zabrałeś cudze galosze, rzeź jeden z towarzyszących mu.

— Wcale nie, stosuję się tylko do zwyczaju.

— Jakto do zwyczaju?

— A naturalnie, widocznie u was nie kupuje się zwykle nowych galoszy, tylko jak się dawniejsze trochę podniszcza, zamienia się je na pierwsze lepsze, byleby nowsze, i tym sposobem utrzymuje się wierz-

chnie obuwie w ciągłym porządku. Odtąd już będę wiedział jak sobie postępować.

\* \* \*

Ponieważ wielu kupców tutejszych wybiera się na paryżką wystawę, dla zrobienia sobie doboru przedmiotów jakie mają do handłów swoich sprowadzić, zwracamy ich uwagę na ważny bardzo dział, który stanowi tam zapewne będą rzeczy praktyczne a tanie, przez przemysłowców francuzkich, niemiecckich i angielskich eksponowane. Już na poprzednich wystawach pojawiały się pojedyncze w tym względzie pokuszenia; obecnie jednak komisya kierująca wystawą paryżką postanowiła podobno nie szczędzić zachęty, dla zgromadzenia największej o ile można ilości okazów tego rodzaju. Szczególniej pod względem ubrania i urządzenia domowego, niektóre większe zakłady przemysłowe do zadziwiających podobno doszły rezultatów. Przy ciągłym wzrastaniu cen u nas na przedmioty nawet koniecznego użytku, sprowadzenie kilku takich okazów byłoby zbawiennem, chociażby dla samego tylko porównania. Niechajby panowie krawcy nasi przekonali się, po jakiej tam cenie dostarczać można wcale dobrych ubiorów; bo chociaż taki pan Alfred albo inna znakomitość krawiecka Paryża, każą sobie bardzo drogo płacić za genialne w krainie mój pomysły, to jednakże człowiek ze skromnymi zasobami pieniężnymi, przy daleko mniejszych wydatkach aniżeli w Warszawie, może tam chodzić przyzwyczajony ubrany. Toż samo ma miejsce i co do wszelkich innych potrzeb domowych, i śmiało powiedzieć można, że pod tym względem niema droższego od Warszawy miasta. Kto zechce wyrzucić za okno pieniądze, dla tego wszędzie i zawsze znajdują się usłużni ludzie, gotowi dopomóc mu w dopełnieniu tej czynności; ale dla ludzi skromnych i umiających się ograniczyć w wymaganiach, w każdym większym mieście znajdzie się właściwa i możliwa skala życia, tylko u nas niepodobna dojść do tego rezultatu. Niedawno dostarczono na wystawę paryżką model domu dla najtańszego pomieszczenia robotników. Samo się rozumie, że za tym przykładem pójdzie bardzo wielu i że dobór praktycznych do użycia przedmiotów po cenach najprzystępniejszych, będzie tam świetnie reprezentowany. A wyznajemy szczerze, iż wolelibyśmy handle nasze widzieć zasilane okazami tego rodzaju, aniżeli zbytkownymi przedmiotami, które dobre są na Paryż, gdzie ludzie wiele mają pieniędzy, ale u nas, przy nieskończonej mniejszej zamożności krajowej, dopomagają jedynie do ciągłego rozwijania się i tak już silnie zagnieżdzonej wady życia nad stan i zbytkowania, bez względu na grożącą ruinę, zwłaszcza że to wszystko dwa razy drożej sprzedaje się w naszych sklepach, aniżeli w Paryżu. Prawda i to, że na kosztownych i zbytkownych rzeczach zysk kupca jest daleko większy, aniżeli na przedmiotach powszedniego użytku; ale trzeba pamiętać że te ostatnie właśnie stanowią grunt, na którym opiera się dobre zrozumiany rozwój handlowy, najzapamiętalesza zaś mania zbytkowania zawsze znaleźć musi swój kres w idącym w ślad za nią braku pieniężnym. O tęp więc przy sprowadzaniu towarów z zagranicy koniecznie pamiętać należy, może bowiem przyjdzie chwila, kiedy najbogatsi nawet poczują potrzebę oszczędzania się w wydatkach, a wówczas cóż się stanie z zapasami sklepowymi, które już całym ogromem kapitału w nich leżącego przyprowadzą kupca do koniecznej ruiny?

\* \* \*

Przyznajemy się szczerze, że nie lubimy wychwalać genialnych dzieci, zwykle bowiem z takich przedwczesnych geniuszów, wielkie bardzo wyrastają mierności. Pamiętamy tradycyjnie odpowiedź, jaką jeden ze znawców muzycznych dał na koncercie ś. p. Krogulskiego entuzyaście, wynoszącemu pod obłoki talent tego dziesięcioletniego artysty.

— Ja tylko widzę, że niewiele jeszcze umie i że nie było za co rubla zapłacić.

— Ale zmiłujcie się, dziesięcioletnie dziecko!...

— A mnie co do tego? Niech ma tysiąc lat, a gra dobrze, kiedy każe płacić za bilety wejścia.

Pomimo tak dokumentnego objawienia zdania o talentach młodocianych, nie możemy się jednak powstrzymać od wspomnienia o jedenastoletniej pannie J\*, córce znanego dobrze artysty i nauczy-

ciela, która w grze na fortepianie doszła już do znakomitego stopnia wyrobienia. Panienska ta dała się słyszeć na prywatnym wieczorze muzycznym, (ciągle o te wieczory musimy zaważać, bo tęp jedynym prawie zajęciem Warszawy jest teraz słuchanie muzyki) i zgromadzeni tam artyści, pomiędzy którymi znajdował się i Henryk Litolf, jednoznacznie oddali pochwały nietylko mechanizmowi, ale i uczuciu tęp gry nie dziecięcej już wcale. Tęp bardziej to podziwienia godne, że ojciec tęp panienski, jak sam twierdzi, celem oszczędzenia sił jej młodzieńczych, dotychczas bardzo niewiele na kształcenie córkiłożył pracy. I pochwalamy to w zupełności, wszelkie bowiem tego rodzaju cieplarniane wychowania na nie się nie przydadzą. Jeżeli talent jest rzeczywisty, sam się on rozwinie, bez względu na przeszkody, a najstaranniejsze nawet wychowanie i najbardziej utrudzająca praca nie zdołają wrodzonej mierności na odznaczającą się indywidualność przerobić.

Widzieliśmy także dziecko, wyróżniające się wysokimi zdolnościami, ale na innym zupełnie polu. W pewnym towarzystwie dziesięcioletni chłopiec grał w naszej obecności partją szachów na pamięć, i choć miał do czynienia z dość biegłym nawet w tęp grze przeciwnikiem, odniósł nad nim zwycięstwo. Komu nieobca jest gra szachów, wymagająca tak licznych i ciągle odmieniających się kombinacyj, ten podzieli z nami przekonanie o zadziwiających zdolnościach pamięciowych tego dziecka, które bez żadnego wysilenia dokonało sztuki, dosyć rzadko praktykowanej przez wytrawnych nawet szachistów. Sądzimy że takie wyjątkowe zdolności dałyby się może pokierować na innej drodze, bo sława najznakomitszego nawet szachisty nie może iść w porównanie z jakąbądź pracą dla pożytku ogółu przydatną. Dobre to dla zabawy, ale człowiek odznaczający się z chlubą w zawodzie praktycznym, daleko jest użyteczniejszym członkiem społeczeństwa, aniżeli taki Morphy lub Staunton, chociaż obaj europejską zyskali sławę.

\* \* \*

Zeszyt pierwszy przekładu Historii Rzymskiej Mommsena wyszedł już z druku. Nie potrzebujemy dodawać, że jest to dzieło pomnikowe, które zjednało sobie zasłużony rozgłos w całej Europie. Przychylnie przyjęcie jakie Historia Mommsena zyska od naszej publiczności czytającej, może zachęcić literatów i wydawców do przedsięwzięcia innych jeszcze nakładów dzieł wysokiej wartości naukowej, których brak dotychczas dotkliwie czuć się nam daje.

## Przegląd polityki zagranicznej.

22 marca.

Rozprawy w ciele prawodawczym, w przedmiocie polityki zagranicznej rządu francuzkiego, odwróciły uwagę powszechną od wewnętrznych reform i projektów. W Paryżu oczekiwano rozpraw z niecierpliwością, spodziewano się bowiem że rząd wypowie przy tęp sposobności jaki jest rzeczywisty jego stosunek do Prus i innych mocarstw europejskich. Nadzieje te w części tylko urzeczywistnione zostały. W dniu 14 b. m. wstąpił na mównicę Thiers i w długiej mowie, trwającej 3 i 1/2 godzin, starał się wykazać, że polityka rządu francuzkiego jest uczuciową, bezzasadną i tyle popełniła błędów, iż odtąd żadnej już omyłki dopuścić się nie może, pod karą najsmutniejszych dla Francji następstw. Mówca jednak nie wywarł w tym roku wrażenia. Po Thiersie zabrał głos p. Garnier-Pagès, zbijał radykalnie mowę poprzednika i zawyrokował że moralny wpływ tylko potrzebnym jest Francji. Przemawiający po nim p. Ollivier chwalił politykę rządu i w Niemczech i we Włoszech, był więc tylko niejako wstępny głosem samego rządu, w obronie którego wystąpił p. Rouher minister, lecz tym razem bez widocznego powodzenia. Twierdzenie że Francja znajduje się w jak najlepszych ze wszystkimi państwami stosunkach i niczego nie obawia się, obalone zostało zwycięzko przez p. Jules Favre, który zapytał się dlaczego w tak błogim stanie rzeczy rząd francuzki przedstawia izbie projekt zwiększający liczbę wojska do 1,200,000 ludzi. Zapytanie to pozostało bez odpowiedzi. Rozprawy jeszcze



## Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie)

nie zostały ukończone. Z Meksyku donoszą, że położenie cesarza Maksymiliana jest rozpaczliwe, lecz że wiadomość o zdobyciu stolicy Meksyku przez Juraristów była fałszywą.

W dniu 18 b. m., na posiedzeniu parlamentu północno-niemieckiego, rozpoczęto rozprawy nad pierwszym artykułem ustawy. Deputowany poznański Kantak zaprotestował przeciw wcieleniu prowincji poznańskiej do Związku niemieckiego, na co odpowiedział hr. Bismarck, iż napad ten wymierzony jest przeciw jedności Prus i zaprzeczył aby posłowie upoważnieni byli do protestu przez swych wyborców, wiadomo bowiem że większość ludności pruskopolskiej zadowolona jest ze swego położenia. W końcu hr. Bismarck wezwał deputowanych polskich, aby szli ucziwie z Niemcami ręką w rękę, a będą przyjęci z radością. Następnie Krieger, w imieniu Duńczyków, zaprotestował przeciw wcieleniu do Prus Szwecji północnej. Hr. Bismarck oświadczył, że Prusy odstąpią Danię część Szlezewiku, lecz znacznie mniejszą od tej o jakiej marzą w Kopenhadze. Jednocześnie tenże minister zaprzeczył pogłoskom, jakoby Prusy zagrażały Holandji, zwłaszcza gdy ani Luksemburg, ani Limburg nie chcą należeć do Związku niemieckiego. W zakończeniu pierwszy paragraf ustawy związkowej przyjęty został znaczną większością głosów. Porozumienie się Niemiec północnych z południowymi z każdym dniem bliższym się staje. Depesza z Monachium z dnia 19 b. miesiąca donosi, że rządowa Bayerische Ztg. ogłosiła traktat zaczepno-odporny Bawaryi z Prusami, zawarty jeszcze w dniu 22 sierpnia 1866 r. Na zasadzie tego traktatu, oba państwa poręczają sobie wzajemnie całość terytoriów i pomoc w razie wojny.

Dzienniki zagraniczne doniosły, że trzy mocarstwa wystąpiły do Porty z przedstawieniem, aby Kandy oddana została Grecji; sprawozdawcy wątpią jednak, aby Anglia zgodziła się na to. Twierdzenie ich nie jest bezzasadnym, z urzędowych bowiem przemówień ministra Derby w parlamencie angielskim widać, że gabinet londyński popiera tylko myśl rozszerzenia swobód dla chrześcijan i obstaje za utrzymaniem całości terytorium tureckiego. Na posiedzeniu izby lordów w dniu 16 b. m. lord Derby oświadczył, że między Portą i księciem Serbii stała ugoda, mocą której załoga turecka opuści twierdzę belgradzką, Serbowie zajmą ją, lecz pozostawiają sztandar sultanski na wałach. Jednocześnie lord Derby zapewnił, że poseł angielski lord Lyons pisze z Konstantynopola, iż Porta wprowadzi reformy, które dadzą jej chrześcijańskim poddanym najzupełniejsze równouprawnienie. Korespondencye z Konstantynopola donoszą, że sultan przyjął żądania stawione przez wicekróla Egiptu. Warunki te są następujące: 1) Izmael basza otrzymuje tytuł kalifa Egiptu; 2) sam mianuje urzędników wojskowych i cywilnych; 3) otrzymuje prawo niezawisłej reprezentacji dyplomatycznej; 4) prawo zawierania traktatów; 5) przywilej rozdawania orderów. Jak widzimy, wszystko to równa się zupełnej niezawisłości Egiptu od Turcyi.

**Ostatnie depesze.** Konstantynopol 21 marca. Sultán przyjmował na osobnym posłuchaniu 35 delegatów kandyockich (w tej liczbie 17 Greków). Fregata turecka odpływa z wojskiem na archipelag.

Florenca 20 marca. Ze znanych dotąd wyborów wypadło 257 na korzyść gabinetu, 173 na korzyść opozycji, 38 wątpliwych.

Peszt 20 marca. Dzienniki węgierskie donoszą, że prezes ministrów i prymas otrzymali od cesarza Franciszka Józefa polecenie utworzenia komisji do obmyślenia środków i ułożenia szczegółów koronacji. Uroczystość ta odbyć się ma w czerwcu r. b. (W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)

## KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Panu T. w Warszawie. Nadesłanego Przeglądu muzycznego, jakkolwiek napisany jest zasadnie, drukować nie możemy; rubrykę tę bowiem powierzaliśmy już stałe jednemu z tutajszych recenzentów muzycznych.

P. Borowianinowi. Rękopis p. t. Mazepa odebrany być może każdego czasu w kantorze drukarni wydawcy Tygodnika.

Panu B.P. w Włocławku. Rebusy użyte nie będą.

Przechodząc teraz do spraw potocznych, myślę że mógłbym w chwili gdy się parlament niemiecki pod zwierzchnictwem Prus otwiera, powiedzieć choć słowo o nowo-zorganizowanej monarchii pruskiej. Statystyka niemniej powinna mieć wdzięku, a ma niemniejsze pewnie dla nas znaczenie, od historii nieba i przyrodnictwa. Całe Prusy dzisiejsze obejmują przestrzeń sześciu tysięcy trzechset czterdzięciu czterech mil geograficznych.

Z górą 23 i pół milionów mieszkańców zamieszkują te kraje. Samą ludność niemiecką rachują na dwadzieścia i pół z górą (liczby okrągłe), to jest na 88 procentów, mówiąc językiem statystycznym. Podzielona wedle wyznań, ogólna ludność daje 15 milionów ewangelików, siedem do ośmiu katolików, około czterechkroćstotysięcy wyznawców religii mojżeszowej i różnych zresztą dyssydentów.

Cały Związek północny niemiecki, z Prusami włącznie, liczyć będzie do trzydziestu milionów ludności, gdy to co pozostaje na uformowanie południowego, nie dojdzie do dziesięciu milionów. Liczmy Bawaryę, Wirtemberg, Badeńskie, pozostała Hessa i maluczkie, mikroskopowe księstwo Lichtenstein.

Dać powinien do myślenia ten fakt mało znany, że już dziś marynarka handlowa Związku północnego niemieckiego przewyższa (wyjawszy Anglię i Stany zjednoczone) marynarkę wszystkich narodów cywilizowanych. Prawda że Anglia i Ameryka sięgają każda pojedynczo do pięciu i sześciu milionów tonn, a Prusy ze Związkiem mają milion kilkakroć stotysięcy; ale Francya już nawet wiele niżej stoi od Związku, który szczególną zdaje się zwracać uwagę na przyszły rozwój swój żeglugi.

W chwili gdy to piszemy, dzieła sztuki, zarówno z owocami rękodzieł i skromniejszej pracy przemysłu i rzemiosł, podróżują już do Paryża. Oglądaliśmy tu saski kontyngens obrazów, który poszedł na wystawę i prawdę a Bogiem, mimo akademii kunsztów, mimo galeryi, mimo sławy artystycznej stolicy, pewni jesteśmy że to co pojedzie z Warszawy, nie powstydi się stanąć przy tém co ztąd posłano. Jeden jedyny obraz Schultza „Biesiada Wallensteina“ prawdziwie piękny, godzien jest świadczyć o stanie sztuki w tym kraju. Drugim, który prawie równą zwracał uwagę, chociaż na nią daleko mniej zasługiwał, było wielkie (figury wielkości naturalnej) Złożenie w grobie Chrystusa, przez Rodiga.

Jako malowanie i technika, obraz ten w istocie ma bardzo wielkie zalety, ale jakże smutnie świadczy o pojęciu zadania, o myśli kierowniczej! Ciało zamordowanego Boga, studyowane z niezmiernym staraniem, jako figura akademicka jest przewyborna, jako Chrystus razi pospolitością form, brakiem ideału, realizmem odstręczającym, przykrym. Oświetlenie, draperye, najmniejsze drobnostki postaci oddane są z przerażającą prawdą; ale gdyby nie Józef z Arymatyi, nie postać mająca oznaczać Matkę Bożą i nie dwie niewiasty i Jan w dali, trudnoby było odgadnąć co te zwłoki znaczą. Jest to w malarstwie religijnym coś nakszałt francuzkiego Courbet'a. Jakże daleko od prosto i umiejętnie nakreślonego Chrystusa Fra Angelica lub Perugina, z których wieje duch Boży, do tego trupa posiniałego, mówiącego więcej o śmierci niż o zmartwychwstaniu! Dodać należy iż Józef i Matka są, mimo dobrego rysunku, postaciami chłodnymi i pospolitemi, acz niezmiernie plastycznie wymalowanymi. Ale cóż po wypukłości ciał, gdy z nich nie mówi nic, tylko ziemiska, smętna, powszednia rzeczywistość! Rzemiosło w tym obrazie posunięte do ostatecznej granicy, ale po niem — nic.

Inne przeznaczone na wystawę dzieła ledwie zasługują na wzmiankę trywialną pospolitością swoją. Parę scen z życia Lutra, malowanych jak dziś wszyscy malują, nawet ci co nic nie umieją; parę bardzo miernych portretów; Ofelia studyowana ze Stubenmädchen drezdeńskiej; nastatek suchy wi-

dok Wenecyi z pałacem dożów i wielki obraz mający przedstawiać noc, gdzieś w ruinach Karnaku czy Teb, z księżycem mącznym i chmurami, które się rumienią widząc go tak pobladłym — otóż prawie wszystko. Jedna akwarella, Kampania rzymska, w Londynie i Paryżu bodaj czy inaczej nazwaną nie zostanie; jest to bowiem *lavis* wodnemi farbami, ale nie to cośmy nawykli dziś, po tylu mistrzach, zwać właściwie akwarellą; reszta bardzo a bardzo mierna, lub mniej jeszcze.

Nieradym być posądzonym o przesadę, wiem bowiem że u nas w kraju o stanie sztuki europejskiej mają w ogóle wyobrażenie zbyt pochlebne. Niewątpliwie stoi ona jako technika na wysokim stopniu, ale i to tylko w ręku ludzi utalentowanych. Zajmują się nią tłumy powołanych i niepowołanych, można więc sobie wystawić co z pod różnie zorganizowanych dłoni i rozmaicie ukształconych umysłów wyrasta.

W ogóle ktokolwiek się nieco uczył, podchwycia środki wydania idei, ale najczęściej brak mu jęz, więc ją pożyczka, urabia cudzą, lub wciela niedołąźnie.

Na te seciny i tysiące malarzy, którzy tworzą, kopiują, okradają się i naśladowają, większość jest mierna i pozostawi smutną po XIX wieku pamiętkę. Ale ponad niemi, jak zawsze, jak wszędzie, górują mistrze, szczupła plejada wybranych. Im więcej ludzie poświęcają się sztuce, tém mierności liczba wzrasta i bardziej razi. Któżby powiedział, znając dzieła Schnorra, który jest dyrektorem tutejszych instytutów artystycznych, że pod jego okiem nie nawet do szkoły podobnego się nie wytworzy? Jednak tak jest. Schnorr, starzec, stoi samotnie, otoczony swą chwałą. W tej chwili niezamordowany artysta, mimo podeszłego wieku, wezwany aby dał kartony do okien kościoła św. Pawła w Londynie, pracuje właśnie nad niemi.

Obok niego ma Drezno mniejszej zapewne sławy, ale wielce sympatycznego rysownika ilustratora, staruszka Ludwika Richtera. Któżby go i u nas nie znał z jego obrazków rodzinnego życia, tak idealnie a naiwnie rzucanych na papier? Jego Niemiec pod altaną za stolikiem, mama, dziatki, psy i koty nawet są tak pełne wyrazu, tak żywe, tak mówiące, że nigdy nikt może nie podniósł ich do ideału z taką siłą i przejęciem się niemi. Richter, jako rysownik drobnych scen, jest niedorównany. Z wielkim podziwieniem w jego obrazkach olejnych znaleźliśmy poczciwego staruszka dziwnie zacofanym, suchym i daleko od siebie samego uczyszym. Ginie w nich cały urok nawet pełnego uczucia rysunku.

Moglibyśmy nazwiskami wielu *dii minores* pomnożyć ten spis, który umyślnie skracamy. Drezno, jako miasto poświęcone od Augusta II czci i miłości sztuki, nie myśli wcale zrzekać się tej charakterystycznej cechy. Wznosi ono ciągle nowe pomniki, gmachy, budowy i posągi. Na stolicę małego królestewka, które o mało nie zostało pochłoniętem, bardzo to wiele. Ale też ta mała Saksonia jest wzorem porządku i zamożności. Gdy po wojnie zapotrzebowała pożyczki pięciu milionów talarów (pięcioprocentowej), w kilka dni była ona *al pari* rozebrana bez namysłu. W teraźniejszych czasach to daje najlepszą miarę bogactwa kraju i jego dobrej sławy. Kapitały w Saksonii często się mieszczą na czterech, a nawet półczwarta procentach. Kraj nie ma prawie magnatów, ale nie ma też prawie ubogich; pracuje ogromnie, oszczędza niezmiernie i jest sobie szczęśliwy po swojemu, a co dziwniejsza, czuje swoje szczęście. To się mało któremu narodowi zdarza.

Ponieważ mówiliśmy o sztuce, a nekrolog Ingres'a jużby był spóźnionym, dokończymy dwoma wspomnieniami o świeżo zmarłych artystach niemieckich, acz mniej znanych. Pierwszy z nich, Gerhard Sipmann, zmarł w 77 roku życia w Monachium. Był on rodem z Düsseldorfu, a kształcił się pod dyrekcją Langer'a i Corneliusa, ale ani w historycznym, ani w portretowym rodzaju, ani nawet w kraj-obrazach nie celował — był znakomitym dekoratorem i malarzem arabesków. Jakkolwiek wiotka to na pozór sztuka gałązka, i ona ma na sobie kwiaty i do niej studyów, materyałów, uczucia piękna i wrodzonego potrzeba talentu. Wszystko to Sipmann posiadał. Był oprócz tego wykształconym wielce i wyborynym nauczycielem rysunków. Wydał też dobrą szkołę, oraz zbiór wzorów dla uczniów.



Ostatnią jego pracą był projekt dekoracji sali jadalnej, cały cykl historii Bachusa, z wielkim wdziękiem wykonany.

Zmarł także w styczniu młody, wielkich nadziei malarz, Kamil Genelli (urodzony w 1840 r.). Kształcił się w Wiedniu, pod przewodnictwem Rahla, potem pracował w Wejmarze i tu życie skończył. Są jego piękne rysunki do poematu Ariosta „Orland szalony.”

W Wejmarze, na korzyść biednych żołnierzy, urządzoną była w myśl w. księcia wystawa historycznych portretów, pod przewodnictwem znanego Wisicenus. Szczególniej odznaczał się zbiór rysunków, wizerunki niemieckich poetów z całego stulecia 1740—1840, obfity materiał dla artystów. Ze zbioru wielko-książeczego były także znakomite portrety Sansovina przez Tycyana, księżny Polignac przez panią Le Brun, księcia Alby i t. p.

już wyszła (Lipsk, Seemann); druga, obejmująca epokę angielską, ma się ukazać wkrótce.

### Pożar warsztatów

drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej,

d. 6 marca 1867 r.

Pisma codzienne ogłosiły już w czasie właściwym szczegóły tej smutnej katastrofy; dając więc czytelnikom naszym drzeworyt przedstawiający pożar w chwili największego rozsrożenia się niszczącego żywiołu, ograniczamy się na zamieszczeniu krótkiej tylko o nim wzmianki.

Ogień wybuchł w nocy z dnia 5 na 6 b. m. w głównym korpusie oddzielnej budowli, położonej w stro-

wyszledzona. Dzięki energicznym staraniom administracji miejscowej, roboty warsztatowe nie zostały wstrzymane, a co za tym idzie, liczne rodziny pracujących rzemieślników ochronić zdołano od dotkliwego niedostatku. O ile wiemy, odbudowa zniszczonych przez pożar zakładów, według sporządzających się planów i kosztorysów, została już zarządzoną i roboty około takowej niebawem się rozpoczną.

### Wystawa paryzka.

#### II.

Koleją z góry przez naturę rzeczy wytkniętą, na drodze polityczno-ekonomicznego rozwoju, doszło się do wystawy powszechnej. Wystawa stała się ko-



POŻAR WARSZTATÓW DROGI ŻELAZNEJ WARSZAWSKO-WIEDENSKIEJ. (Rysow. d. z natury Kossak).

Z nowin artystycznych godną przytoczenia jest projektowana szkoła archeologii starożytniej w Pompei. Myśl tę, bardzo szczęśliwą, gdyż tu samo wejrzenie więcej uczy niż wszystko, a niema prawie przedmiotu, któryby się szczątkami wykopalisk tu-tejszych objaśnić nie dał, winny Włochy ministrowi oświecenia, panu Berti.

Z dzieł nowych o sztuce i artystach, szczególnie biografią Holbeina przez p. Wornum, dyrektora londyńskiej Nationalgalerie, polecić możemy. Jest to wspaniale wydane i bogato ilustrowane monografia tego często źle sądzonego artysty. Holbein, jak inni starzy niemieccy malarze, jest przedmiotem troskliwych studyów w kraju i zagranicą. Współcześnie z dziełem p. Wornum, wydaje dr. Alfred Woltman „Holbeina i jego czasy“ (Holbein und seine Zeit). Pierwsza część tej monografii, zawierająca żywot artysty i działalność jego w Niemczech,

nie ulic Chmielnej i Żelaznej, w której mieściły się maszyny i warsztaty rękodzielnicze. Pomimo gorliwego ratunku służby miejscowej, której niebawem nadbiegły w pomoc dwa oddziały warszawskiej straży ogniowej, pożar szybko się rozszerzał, zwłaszcza że krzyżujące się na placu stacyjnym linie szyn żelaznych utrudniały ruch sikawek. Wkrótce cały jednopiętrowy korpus środkowy, ze wszystkimi znajdującymi się w nim warsztatami, stał się pastwą płomieni, a nadto zgorzały dwie oddzielne budowle z warsztatami kowalskimi i maszyną parową, która jednak mniej znaczącemu tylko uległa uszkodzeniu. Zdołano także ocalić pawilony mieszczące w sobie warsztaty do reparacji parochodów, powozów i wagonów; zwykły przeto bieg pociągów żadnej nie doznał przerwy.

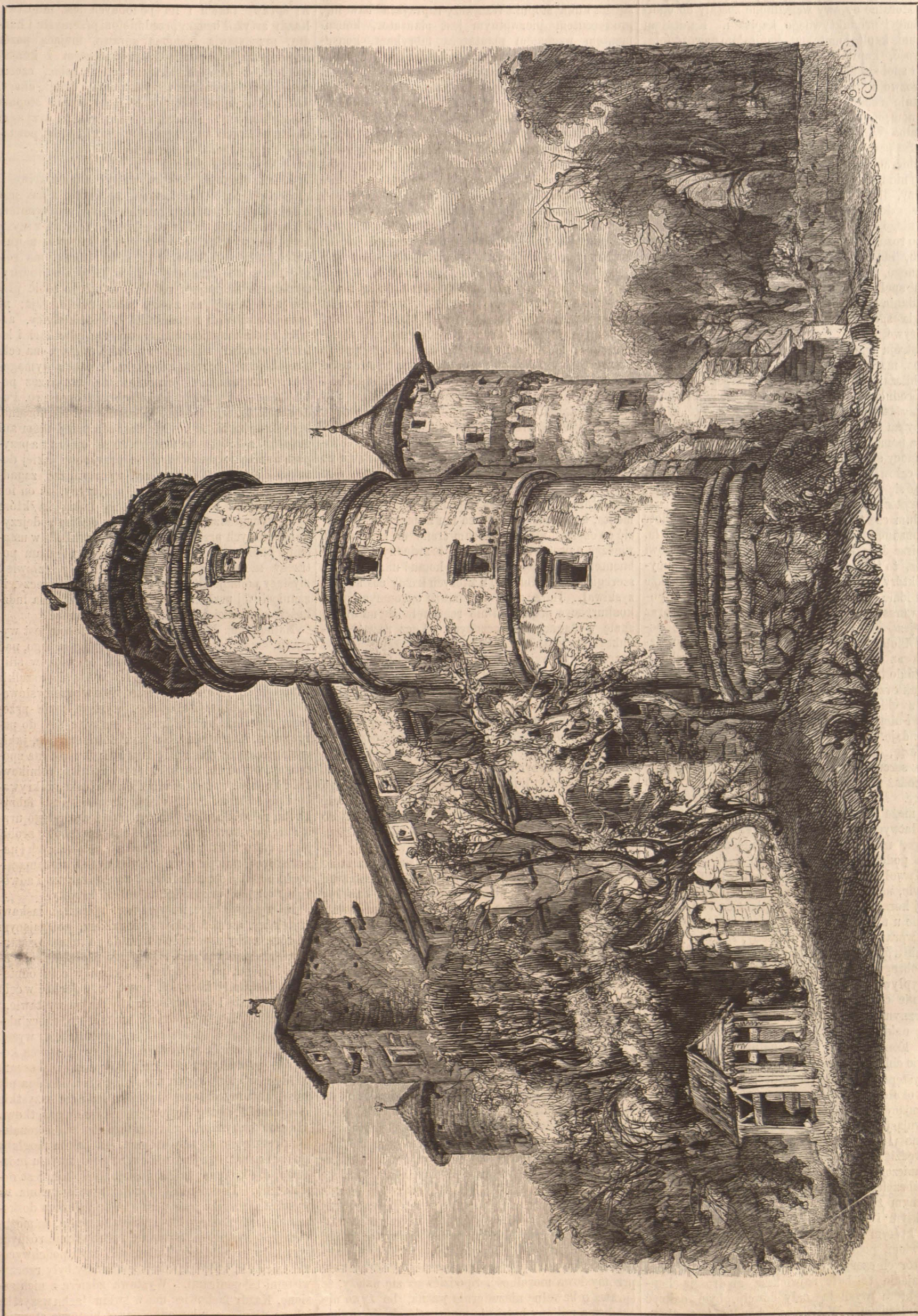
Szkody, według przybliżonego obliczenia, wynoszą około 100,000 rsr. Przyczyna pożaru dotąd nie-

niecznością pod handlowo-przemysłowym względem, ale, rzecz godna uwagi, stała się ona potrzebą i pod względem moralnym.

Zapyta może niejedyn: co moralność ma do handlu i przemysłu? jaki pomiędzy niemi a nią istnieje związek?

Istnieje związek i ścisły, dowiedziony przez nowożytnych ekonomistów i postawiony jako rzecz dodatnia, działająca na równi z potrzebami których zaspokojenie wzięły na siebie handel i przemysł. Bogactwa bowiem społecznego nie stanowią same tylko przedmioty materialne, ale oraz i siły moralne, których summa daje pewne rezultaty. Tym siłom podlega handel i w wyższej jeszcze mierze przemysł, według nich się regulując i do nich zastosowując. Dawniejsi ekonomiści, ze szkoły Adama Smitha, ignorowali je i przez to narazili swoje systemata na surową krytykę socjalistów, których





ZAMEK W WIŚNICZU. (Rysował z natury Matejko). Zob. artykuł w Nrze 8 Tygodnika.



wpływowi ulegli nowsi, zaczynając od Jana Baptysty Saya. Moralne objawy wciągnięte zostały do ogólnej definicji produktywnego kapitału. Kapitałem jest rozum, kapitałem talent, kapitałem nawet cnota, poczciwość, kapitałem do tego stopnia, że w niektórych społeczeństwach, stojących na wysokim stopniu rozwoju, jakim naprzykład jest angielskie, posiadanie rozumu, talentu lub poczciwości jest tęp samym, co posiadanie kapitału w brzęczącej monecie albo w ziemi. Rozum, talent i poczciwość przynoszą pewne i stałe dochody. Dlatego to tam, przy zabięciu znajomości z człowiekiem o którym się nie nigdy nie słyszało, pytają: „co on wart?” to znaczy, ile ma dochodu? Dochód jest miarą wartości człowieka, a wartość stanowi użyteczność jaką z niego ciągnie społeczeństwo, spożytkowując zarówno rozum, talent i cnotę we wszelkich zastosowaniach, idących z pomocą doskonaleniu ustroju społecznego, zadania najważniejszego pomiędzy zadaniami społecznymi. Na drodze to rozwiązywania tego zadania wystąpiła ekonomia polityczna, jako fizjologia społeczna, badająca prawidła krążenia soków żywotnych.

W ustroju społecznym przeważną rolę odegrała potrzeba, mająca dwie strony, dwa, że tak się wyrażę, oblicza: potrzebę zbycia i potrzebę nabycia, czyli produkcją i konsumcją. Oparcie stosunku pomiędzy dwoma temi obliczami jednej i tej samej potrzeby na podstawach stałych i niewzruszonych, wymaga pomocy rozumu, talentu i poczciwości, to jest pomocy sił moralnych, spoczywających w duszy i sercu człowieka. Zadość uczynienie temu wymogowi osiągnąć się da tylko na drodze porównawczej, której najwyższym wyrazem jest wystawa.

Wytlumaczę to przykładem. Przypuśćmy że Piotr jest konsumentem względem producenta Pawła. Piotr pisze książki, Paweł piecze chleb. Piotrowi idzie źle, to jest nie rentuje mu się kapitał umysłowy, który w pisanie wkłada. W miarę jednakże jak mu idzie coraz to gorzej, chlebowa jego potrzeba wzrasta przez to samo, że staje się coraz trudniejszą do zaspokojenia; stosunek więc pomiędzy Piotrem nabywającym, a Pawłem zbywającym, coraz to mocniej się napręża i przychodzi w końcu do tego, że Paweł staje względem Piotra w charakterze łaskodawcy, mogąc dowolnie sprzedawać mu chleb dobry i tani, lub też zły i drogi. Piotrowi nie służy prawo wyboru, musi brać co mu piekarz daje. Prawo to służyłoby mu w takim tylko razie, gdyby istniało jedno z dwojga: albo cnota w sercu Pawła, albo dużo chleba wystawionego na sprzedaż przez współbiegających się z Pawłem piekarzy. Rezultat pierwszy jest przypuszczalnym: Paweł może być człowiekiem cnotliwym, nie szukającym łatwych zysków w nieszczęśliwym położeniu bliźniego, może być jednakże i niecnotliwym, jak mu się podoba. Rezultat drugi jest niezawodnym: Paweł musi względem Piotra prowadzić się poczciwie, musi niewyzyskiwać jego położenia, dla własnej korzyści, któraby ucierpiała na tęp, gdyby Piotr nie u niego szukał potrzeby i taniego chleba. Jest to wprawdzie cnota z potrzeby, skutki ję wszelako nie różnią się od skutków cnoty z poczucia lub z dobrego pojmowania chrześcijańskich obowiązków, wypływających z zasady nieczynienia bliźniemu, czego nie chcemy aby nam czyniono. Zasadę tę praktycznym sposobem wprowadza w życie konkurencja, nakładając wędzidło na dowolność producenta. Konkurencją zaś reguluje wystawa. Na wystawie chleb, o którym dla przykładu wspomniałem, występuje pod najrozmaitszą postacią i gromadzi około siebie wszelkiego rodzaju Piotrow, rozpatrujących, badających, porównujących i obrachowywujących.

Strona moralna wystawy jasno się odrysuje, jako wędzidło na producentów, jako hamulec na nieograniczoną żądzę zysku, jako przymusowy środek, zabezpieczający konsumenta przeciwko wygórowanym żądaniom.

Zwykłym i najbardziej rozpowszechnionym sposobem, którym posługuje się produkcja, w celu, że tak powiem, podejścia konsumpcji, jest tajnienie źródeł z których czerpie surowe płody. Dawniejszemi czasy tajnienie to było największą mądrością handlową, która wysilała cały dowcip, byle odkryć źródło nieznanne. W dziejach handlu jest długa epoka odkrywania źródeł, które nareszcie odkrytymi zostały prawie wszystkie, lecz dla producen-

tów, nie dla konsumentów, którzy to ostatni dzielą się na kilka stopni. Wziąwszy naprzykład bawełnę, producentem pierwotnym jest plantator, konsumentem względem plantatora fabrykant, konsumentem względem fabrykanta kupiec *en gros*, konsumentem względem kupca *en gros* kupiec *en detail*, konsumentem zaś względem tego zużytkowująca bawełnę publiczność. Plantator przeto jest niejako panem całego obrotu bawełny. On wybiera najdogodniejsze dla siebie warunki, których cały ciężar spada na barki ostatniego konsumenta, publiczności, i spada w sposób bardzo dokuczliwy pomy, póki pierwotny producent działa na gruncie bądź nieznanym, bądź nieprzystępnym.

Przykładem wzięty przykład bawełny bardzo się dobrze tu nadaje. Jest to artykuł, którego produkcja w naszych niemal oczach rozwinęła się do kolosalnych rozmiarów. Ojczyzną ję Stany zjednoczone północnej Ameryki. W 1747 r. wyprawiły one do Europy (do Anglii) skromniutką liczbę 840 kilogramów bawełny; w 1784 r. siedemdziesiąt i jedną pak, ważących mniej więcej 8,520 kil.; w 1791 r. cała eksportacja Stanów zjednoczonych wynosiła około 86,000 kil.; w 1795 wzrosła się już do 3 milionów; w 1820 do 80 milionów; w 1840 do 358 milionów; w 1850 do 448 milionów; w 1853 do 587 milionów kilogramów, reprezentujących summe 600 milionów franków. Odnosi się to do płodu surowego, którego wartość przez przerobienie wzrasta w czwórnasób. Pierwsze pojawienie się tego płodu na europejskich targowiskach, pierwsze zapotrzebowanie go przez ostatnich konsumentów i jedyne źródło które go dostarczało, przynosiły ogromne korzyści najprzód plantatorom, po tych zaś kupcom, zeszkołą konsumenta, który musiał brać co mu kupiec dawał i płać co chciał, nie mogąc sam trafić do źródła i nie wiedząc nawet o niem. Był on bezwiednym kontrahentem, opłacającym haracz komuś ukrytemu za szeregiem pośredników, z których każdy cós na nim zyskiwał. Haracz ten był zrazu ogromnym, póki konkurencja produkcji nie rozwinęła się na wielką skalę w Stanach zjednoczonych. Lecz rozwój produkcji wzrastał w miarę rozwoju potrzeby, niezbyt znacznie wpływając na umniejszenie haraczu, i byłby może wcale nie wpłynął, gdyby nie porównanie, które kazało szukać innych źródeł produkcji, a którego ostatni wyraz znalazł się na wystawie, najprzód angielskiej w r. 1851, następnie francuskiej w 1855 roku. W roku 1855, obok Stanów zjednoczonych, jako dostarczyciele bawełny figurują Egipt, Indie wschodnie i Brazylia, na które przypada szóstą część dostawionego do Europy produktu. Z wystawowego porównania wynikło, że można bawełnę produkować i w innych jeszcze miejscach. Więc wzięto się do prób: Anglicy w Australii, Francuzi w Algierze. Rząd francuski, zachęcony rezultatem jaki wypadł z porównania warunków klimatu i gleby z okazami które oglądał na wystawie, wszelkich dokłada usiłowań, w celu ożywienia i podniesienia uprawy bawełny w Algierze. Dostarcza kolonistom nasienia; kupuje bawełnę zebraną przez algierskich plantatorów; wyznacza premia; cesarz z własnej szkatuły przeznaczył 20,000 rocznie dla plantatora, który najlepsze otrzyma rezultaty w produkcji na wielką skalę. Próby te i usiłowania mają za cel okiełznanie Amerykanów, włożenie na nich hamulca moralnego przymusu, którego to włożenia możliwość okazała się na wystawie, gdzie się znalazły okazy amerykańskie obok egipskich, brazylijskich, indyjskich, australijskich i guyańskich. Przypatrujący się im i badający je konsument, (którym jest także i rząd francuski, mający kilka milionów kosztów co rok do sprawienia), opatrzył te okazy komentarzami ścigającymi się do kosztów produkcji, a zachęcającymi do próbowania. Dzięki to tym próbom, Europa w czasie domowej wojny w zjednoczonych Stanach nie była pozbawioną bawełny, która stała się przedmiotem pierwszej potrzeby, na równi prawie z chlebem i dachem. Dzięki tym próbom, główni ję producenci trzymać się muszą w granicach uczciwości, nie korzystając tak jakby korzystać mogli z coraz to wzrastającej potrzeby. Stracili wprawdzie na tęp amerykańscy producenci, lecz zyskała przemysłowa moralność. Spodziewać się należy, że sprawa o bawełnę niezmiernie ważna, bo żywo obchodząca miliony ludzi nie mogących obejść się bez tanięj bielizny, jeżeli nie zostanie ostatecznie na mającej się wkrótce otworzyć wystawie załatwiona,

to przynajmniej posunie się naprzód ku załatwieniu. A spraw takich i im podobnych jest mnóstwo. Każdy artykuł będący przedmiotem przemysłu i handlu, przedstawia podobną sprawę, mającą pozór ciągłego zajęcia pomiędzy producentem i konsumentem, z których pierwszy nosi na sobie, często niesłusznie, charakter wyzyskiwacza, drugi ofiary. Jest to spór nieustanny i do najwyższego stopnia skomplikowany. My, zwykli śmiertelnicy, krzywem okiem patrzymy na przemysłowców i kupców, powtarzając z pokolenia w pokolenie:

— Obdzierają nas....

Jeden drugiego podejrzujemy o nieuczciwość; „jeden drugiego“ powtarzam, bo każdy z nas jest kolejno konsumentem i producentem, producentem i konsumentem. Więc podejrzenie ciąży na wszystkich bez wyjątku, ciąży z wielką krzywdą moralności publicznej. Za oszusta, choć trochę, ma rolnik kupca, zaopatrującego go w kolonialne towary; za oszusta ma kupiec rolnika, każącego sobie płać jaknajwięcej za zboże, siano, masło, jaja; za oszustów uchodzą rzemieślnicy i rękodzielnicy, artyści i ludzie nauki, jakimi np. są adwokaci i lekarze; słowem wszelka czynność, mająca na celu zaspokojenie potrzeb człowieka, a zatem wymagająca wynagrodzenia, przedstawiana jest przez potrzebujących i wynagradzających jako oszustwo. Podejrzenie to, samo w sobie obrzydliwe i niemoralne, nie oszczędza nikogo. Nie zasłania przed niem ani majątek, ani ród, a to dlatego, że się opiera na przypuszczeniach wysnowanych z przykrości jakiejś doznaje konsument, zmuszony wynagradzać zagadkowe usługi, zagadkowe z tęp przyczyny, iż on ich nie porównał z istotną wartością usług za które sobie wynagradzać każe. Jaką to ogólne podejrzenie jednych przez drugich jest przeszkodą w ustaleniu publicznej moralności, nad tęp nie mam potrzeby szeroko się rozwozić. Każdy człowiek myślący pojmuje to i nikt zapewne nie zaprzeczy, iż usunięcie tęp przeszkody byłoby ogromnem dla ludzkości dobrodziejstwem.... Jakże ją usunąć?

Najlepszym, bo jedynym na to sposobem jest wystawa, dotykalnie i namacalnie dowodząca tego, nad wytłumaczeniem czego napróżno od wieków silił się moralisci i kaznodzieje. Na wystawie wszelkie usługi jakie człowiek społeczeństwu w przemysłowo-handlowym względzie oddaje, występują na przegląd, stają jedna obok drugiej, nadając się do porównania. Na wystawie rolnik dowiadyuje się, jakie wynagrodzenie należy się kupcowi; kupiec ma sposobność ocenienia wartości pracy rolnika; rolnikowi zaś i kupcowi razem spada z oczów łuska, zakrywająca przed nimi istotę zasług rzemieślnika, fabrykanta, rękodzielnika. Przez świadomość tego urabia się podstawa zaufania, które potrzebuje zrobić jeden tylko krok, ażeby od rzeczy dotykalnych i namacalnych, przejść do niedotykalnych i nienamacalnych, oddając sprawiedliwość nauce lekarza i adwokata, trudom urzędnika, talentowi artysty.

Na wystawę więc, na wystawę! spieszcie, łaskawi czytelnicy, ale pod jednym warunkiem, polegającym na tęp, ażeby usposobić ducha do poważnego zastanawiania się i badania. Bez tego usposobienia, dalszobóg! niema po co jechać. Jechać w celu odniesienia dodatniej korzyści, i owszem. Jechać w celu pogapienia się i pochwalenia: „byłem na wystawie,“ nie warto. Korzyść odnieść można, to rzecz niezawodna, nawet moralną, jak wykazałem wyżej; lecz trzeba chcieć ją odnieść. A dla chcących korzyści, przedstawia się tam niewyczerpany ocean, otchłań, w którą można w głąb iść i iść, i do dna nie dojść. Tam przedstawia się oczom badacza wszystkie specjalności, służące społeczeństwu ku pożytkowi. A każda specjalność reprezentuje się w doskonałemu posunięciu do tego stopnia, na jakim mogłaby się zatrzymać, gdyby nie ruchliwość umysłu ludzkiego, dla którego żadna doskonałość nie jest dostateczną. Doskonałość przeto przedstawiona na wystawie, posłuży jako podnieta do dalszego doskonalenia, uczynionego łatwiejszém przez to, że możliwem jest obejrzenie, zbadanie i porównanie różnych systemów, wynalazków i ulepszeń, czyli podchwycenie tajemnic, które dawniejszemi czasy były rzeczystemi tajemnicami. Wystawa zdzięra z nich zasłonę. Każdy fachowiec ma w swoim fachu wszystko jak na dłoni, a nierazko nawet historią stopniowego rozwoju swego rzemiosła. Pod tęp względem w 1855 roku wielka przysługę oddało przemysłowi



odnoszącemu się do nauk i nauczania, konserwatorium cesarskie sztuk i rzemiosł, wystawiając różne narzędzia w pierwotnym i udoskonalonym ich stanie. Nie ulega wątpliwości, że i tegoroczna wystawa z czémś podobnym wystąpi i spodziewać się można, że za przykładem Francuzów pójdą inni i niejedyn przedmiot, z rodzaju tych zwłaszcza które się do mechaniki odnoszą, przedstawi się wraz ze swoją historią.

Więc, na wystawę! powtarzam jeszcze raz, ale dla nauki. Róbcie węzłki i dalej w drogę; tylko, ostrzegam, zaopatrzyć należy dobrze pugilaresy i sakiewki, bo zanoszą się na ogromną w Paryżu drożyznę, o czém miarkować można z tego, że rząd zawczasu myśli o gościach rzemieślnikach, nie mających dużo do wyrzucenia. Budują się dla nich koszary, sprawiają łóżka z pościelą, obmyśla się tanie jedzenie. A jeżeli dla rzemieślników trzeba o tём myśleć, czegoż spodziewać się mają amatorowie, na których worki nastawiają samotrząski wszystkie hotele i restauracje, wszyscy przewodnicy i przewoźnicy!...

## WRAŻENIA Z PODRÓŻY,

przez

Mscisława Kamińskiego.

(Dalszy ciąg).

Skończyła się wreszcie nudna grobla i zajechaliśmy do nędznej karczmy, na rogu również nędznej wsi. Stało przed nią mnóstwo ładownych wozów, a koło nich kręcili się z krótkimi fajkami w ustach Czumacy. Piękny to lud! Rosły, barczysty, oblicza przystojnego, na którym atoli niezawsze szczerłość się maluje. Ubrani w krótkie, szare lub brunatne siermięgi, opasane czerwonym pasem, w chodaki rzemieniem do nogi przymocowane i barankowe białe czapki bez kozyrka. Niektórzy jednak mieli kapelusze. Jechali *piętką* z Pińska do Bobrujska.

W karczmie brudnej jak zawsze i z jednej tylko izby składającej się, zastaliśmy dziwnie oryginalną istotę. Z ubioru głowy i wyższej części ciała zdała się kobieta, ale fizyognomia i dolna część ubrania były męskie. Wprawdzie nie nowina była dla mnie spotkać się na Polesiu z podobnie zagadkowym kostiumem, ale tu mężczyzna tak był oczywisty, kobieta tak widoczna, że w żaden sposób zagadki rozwiązać nie mogłem. Dziwna ta istota, zabłocona po uszy, trzymała w ręku kosz z grzybami i z tak naiwną ciekawością wszystkim naszym czynnościom się przypatrywała, jakbyśmy byli jakim nieznanym okazem małym, a ona badaczem przyrody.

— A z kul sam? spytałem wreszcie, pragnąc się czegośkolwiek dowiedzieć i przypuszczając na chybi trafi, że mam do czynienia z pcją szpetną.

— Czy wasze ślepyj, szczo mene mužem nazywajesz? odparła obrażona piękność. A hdzież moja boroda ali wusy, koli ja sam?

Istotnie brody nie było, ale co do wąsów, o tych nieistnieniu można było powątpiewać. Zresztą, tutejsze kobiety są w ogóle bardzo szpetne i dopiero koło samego Pińska można już, bez popełnienia przesady, policzyć je do płci pięknej. Mężczyźni, lubo przystojniejsi, szpecą się jednak, zwłaszcza latem, obwiązywaniem głowy chustkami, co czyni ich wiele do kobiet podobnymi. Ten to właśnie strój wywołał moje omyłkę.

Był to piątek, a więc trzeba było myśleć o wyszukaniu najdogodniejszej karczmy na przepędzenie szabasu. Szabas! wy nie wiecie co to jest szabas dla podróżującego bryką żydowską. Jest to wyraz tak straszny, jak cisza morska dla marynarzy, jak kwarantanna dla arabskich pielgrzymów, jak pożar stepu dla amerykańskiego wędrowca. A cóż dopiero szabas na Polesiu, zdala od miast i miasteczek, przy jakiejś prywatnej drodze, pośród wsi biędnej, brudnej, błotnistej. Nic nad to nieznowniejszego!

Próżne jednak żale. Bryka zatrzymuje się na szabas w Świętej Woli, jakkolwiek jeszcze dość jest wcześnie; ale furman i Żydzi-pasażerowie dowodzą, że lepszej karczmy na całej drodze pińskiej nie znajdziemy. Budynek jeszcze jakikolwiek, ale wewnątrz rudera najstraszniejsza. Podłoga powykrzywiana, okna pobite, ściany porysowane, przeciekający

przez szczeliny sufitu deszcz, łóżko najeżone zmietem sianem i słomą. Nie miałem odwagi na niem się położyć, obawiając się całej menażeryi owadów, i przeniosłem nad nie twarde, z desek zbitą tapczan.

Oczekując samowara, który w tego rodzaju podróżach jest istnym dobrodziejstwem, wyjrzałem na ulicę przez brudne szyby.

Błotnistą ulicą przeciągnie kiedy niekiedy to skrzypiący wóz, ciągniony przez dwa woły, to bydełko wracające z paszy, to Żyd zdążający na szabas, to podkasana baba, brnąca przez największe błoto i zawsze na kogoś zrzędząca, to wreszcie gospodarze idący poważnie na naradę do kancelaryi włościańskiej, lub do pocieszycielki utrapionych, karczmy. W ogólności jednak mniej napotkałem pijaństwa, niż przed kilku laty.

Ubiór włościan tutejszych składa się: z baraniej czarnej czapki czyli kołpaka, lub w porze letniej słomianego kape.asza, z krótkiej brunatnej siermięgi, opasanej pasem czerwonym, na którą wkłada się nieco dłuższą siermięgę lub kozuch, i z chodaków skórzanych lub łapci. Krótki nożyk, mała drewniana fajeczka, której nigdy z ust nie wypuszcza, wreszcie skórzany woreczek ze skałką, krzesiwem i tytunem—owóz niezbędne akcesorya każdego Pole-szuka.

Włościanki, prócz siermięgi, podobnej krojem do męskiej, i króciutkiej spódnicy, okrywają głowę *namiotką*, podobnie, lubo nie tak estetycznie, zawiązaną, jak u litewskich włościanek. To pokrewieństwo stroju dwóch oddalonych od siebie ludów, powinno zdaje się zwrócić uwagę badaczy tutejszego kraju. Dziewczyny zawiązują głowy kolorowemi chusteczkami, bez żadnego wdzięku, i w ogóle, sądząc po ich zaniedbanem ubraniu, zdaje się iż niewiele się troszczą o zastąpienie sztuką tego, czego im przyroda odmówiła.

Ku wieczorowi, gdy szabas zapadł, przystąpił do mnie wielomówny mój towarzysz podróży i spytał:

— Pan nigdzie nie pójdzie?

— Nigdzie. A naco ta wiadomość?

— Bo to widzi pan, odparł nieco zafrasowany, my idziemy do szkoły Bogu się pomodlić, a ja nie mam przy kim zostawić tego kuferka.

Tu wskazał stojący w kącie drewniany kuferek.

— Możesz być spokojnym, będę miał oko na niego, bo przecież i moje rzeczy tu są.

— Dziękuję panu; ale ja panu powiem pod sekretem co to za kufer. Ot, niech pan podejdzie bliżej.

To mówiąc, otworzył wieko i rozwiązał znajdujący się wewnątrz trzos, napełniony samemi asygnatami.

— Czy wie pan? tu jest sześćdziesiąt tysięcy rubli. Ja to jednemu panu tylko powiedziałem. Niech Bóg broni jaki ja mam z temi pieniędzmi kłopot. Gdyby to przynajmniej moje, ale należą one do kupca, którego jestem *prykaszczykiem* (komisantem).

— Ale jakżeś się odważył wieść je po takich bezludnych drogach? Należało pocztą odesłać.

— Ej, poczta drogo kosztuje, a zresztą czy to mnie *pierszyna*? Ja z Prusi co rok z takimi, a czasem i większemi pieniędzmi wracam.

Przytoczyliśmy fakt ten, świadczący dowodnie, jak bogaci są Żydzi pińscy, ile że komisant z którym jechałem, służył u jednego z najmniej znanych kupców. Ale o tём pomówimy jeszcze nieco później.

Strudzony niewygodą podróży i kilkodniowym niewywcześnie, smaczno zasnąłem. Mogła być pierwsza, gdy ręka przez sen na bok rzucona natrafiła na coś mokrego. Obudziłem się. W pokoju ciemno było jak w rogu; w drugim jego końcu chrapał ów sześćdziesięciotysięczny komisant; na dworze wiatr wył nieznośnie. Zdawało mi się że słyszę stapanie. Natężyłem słuch. Nie było wątpliwości... tuż koło mnie rozlegał się monotony łoskot. Zerwać się z łóżka i zapalić świecę, było dla mnie dziełem jednej chwili. Patrząc i oczom swym nie wierzę...

Wzdłuż ścian lały się nieprzerwane strugi wody deszczowej, która też swobodnie przenikała i przez szczeliny sufitu, tworząc pośrodku izby rodzaj sadzawki, grożącej nam ogólnym zatopieniem. Cała niemal noc ubiegła na przenosinach z miejsca na miejsce, nazajutrz zaś potrzeba było nająć człowieka, aby wylał wodę, a gdy i to nie na wiele się przydało, bo deszcz cały ranek padał, kazałem podpalić w wielkim staroświeckim kominie.

Jedyną rozrywką moją w tój przenudną karczmie było czytanie książek. Cały tedy dzień spędziłem na czytaniu, ku wielkiemu zdziwieniu mojego współtowarzysza podróży, który pojąć nie mógł, dlaczego nie śpię tak jak on, wynagradzając sobie za przeszłe i przyszłe bezsenne noce. A że według logiki tutejszych Żydków, kto czyta, ten rozumny, a kto rozumny, ten jeżeli nie rabin, to przynajmniej doktor medycyny, ztąd też i ja, nie mogąc być pierwszym, zostałem w ich rozumieniu drugim. Rozeszła się pogłoska że jestem doktorem. A że na biędę zachorował syn gospodarza, naturalnie więc postanowili uciec się do mojej medyczno-chirurgicznej mądrości.

— Przepraszam pana, mówi wchodząc gospodyni, my śliszeli co pan jest doktor.

— Ja, doktorem? Niestety! miałem nim być, ale nie jestem. Ale czego żądacie?

— Mój syn zachorował. Żołądek mu boli.

— Czyliż tu niema żadnego felczera?

— Ej, gdzie tam, i z rodu tego nie bywało. Ja pana bardzo proszę, niech pan jemu co poradzi.

— Ale upewniam was, że nie jestem doktorem. Ciękawym kto mógł powiedzieć coś podobnego?

— A to te kupcy, co z panem jadą, powiedzieli.

— Bardzo im wdzięczny jestem za tak wysokie o mnie rozumienie, ale zaradzić nie mogę. Wreszcie, dodałem widząc niedowierzającą minę swjej interlokutorki, daj mu rumianku, a przejdzie.

Naturalnie że ani w karczmie, ani w całej wsi (gdzie jednak z paręset domów się znajduje), nikt się w zbieranie ziół lekarskich nie bawił, a tём samém rumianku nie było. Tём gorzej dla chorego, bo dłużej zapewne cierpiał; tём lepiej dla mnie, bo gdyby lekarska sława moja poprzedziła mnie do Pińska, Żydzi pokojuby mi nie dali.

Tymczasem oczekiwały mnie kłopoty gastronomiczne. W braku wszelkiej posługi (bo człowiek o którym wspomniałem wyżej gdzieś przepadł) musiałem sam pełnić urząd adepta sztuki kucharskiej, a w braku znowu wszelkich zapasów kuchennych, musiałem poprzestać na jajach gotowanych i śmietanie z muchami.

Ku wieczorowi zwrócił mą uwagę żalony, tęskny, pomieszany z płaczem śpiew. Pobiegłem do okna: na cmentarzu, do świeżo wykopanej mogiły, kilku ludzi spuszczało prostą, drewnianą trumnę, a młoda jeszcze niewiasta płaczącym głosem rozwodziła swe żale. Było w jej głosie coś tak rzewnego, że ten smutny obrządek, pomimo całej swjej prostoty, więcej usposabiał do żalu, niż owe świetne pogrzeby wielkich panów, w których zbytek i teatralna okazałość zdają się szydzić z boleści i głębszych uczuć. Co mnie jednak uderzyło, to niewielka liczba osób towarzysząca temu ostatniemu w życiu ludzkiem aktowi. Prócz grabarzy, było tylko parę kobiet, kilku mężczyzn i z pół tuzina dzieci.

Długo brzmiał mi w uszach ten żalony, przytłumiony śpiew, i dopiero zbliżająca się noc wyrwała mnie z tęsknej zadumy. Potrzeba było pakować się, bo po szabasie mieliśmy zaraz wyruszyć w drogę. Skoro gwiazdy ukazały się na niebie i moi współtowarzysze podróży wrócili ze szkoły, spytałem kiedy pojedziemy.

— My już, chwalić Boga, po szabasie, ale gospodarz chyba za dwie godziny odszabasuje.

— A to dlaczego?

— Bo to widzi pan, on *kitajowiec*.

— Jako kitajowiec?

— Oj, czy pan nie słyszał? Kitajowiec, nu, to znaczy *skakun*.

— A, rozumiem, chassyd?

— O to to! chassyd... Oni tu wszyscy w Świętej Woli chassydzi, i ich szkoła, dodał z szyderskim uśmiechem, także chassydzka. A i w Pińsku ich jest.

Rabinici w ogólności nienawidzą chassydów, ale i ci takąż samą monetą im odpłacają. Jestto pod każdym względem dziwna sekta i wyznać należy, dotąd z należytą bezstronnością nie zbadana. Najdziwnsze przesady, jednoczą się tu z najzdrowszemi zasadami, a obok fanatyzmu, znajdujemy wiele praktyczności, że nie powiemy konsekwencyi.

Na pierwszy rzut oka chassyd zdaje się więcej jeszcze zacofanym niż rabinita: odzież jego starożydowska, brudna, niechlujna, zaniedbana, a pod nią nieodstępne *cyces*; włosy w nieładzie, zakończony po obu bokach długimi pejsami; na nogach częścię



pończochy zużyte i oklapłe pantofle, niż buty; broda zawsze długa i rozczochrana, słowem najdoskonalsza kopia owych już dziś li tylko na deskach teatralnych spotykanych Ieków i Mošków. A jednak, ktoby się tego spodziewał?... chasydzi nie zachowują prawie postów, a w moralności, przynajmniej pod względem zasad, stoją wyżej od rabinów. Alfą i omegą wszelkich ich obrządków jest modlitwa, ale modlitwa zupełnie różna od naszej, i od żydowskiej. Modlą się nie tylko ze wszystkiej duszy, lecz i ze wszystkiego ciała, a ztąd przy modlitwie chasyd całym ciałem podryguje, to rycząc, to bijąc się w piersi, to wrzeszcząc na całe gardło, to dziwaczne wyprawiając skoki.

Lecz czego modlitwa ani kontemplacja nie robi, tego dokonają *cadik*. Cadik, to dalej-lama w miniaturze, to świętość chodząca, to jedyny pośrednik pomiędzy ludźmi i Bogiem. Rabin żydowski niewart nawet rozwiązać rzemyka obuwia jego. Cadik, to mądrość uosobiona, to prorok, cudotwórca, miasteczkowy Salomon, słowem najwyższa duchowna i świecka władza. Szczęśliwy dom, do którego taki dygnitarz wstąpi: on uzdrowia chorych, godzi zwaśnionych, radzi w kłopotliwych chwilach życia i samą modlitwą przysparza niewiastom zdrowego i rzeźkiego potomstwa.

Zresztą cadik gotów wszystkich spółwierców szczęściem osypać, byleby tylko ci znali się na *faktycznej*, dytykalnej wdzięczności.

Piękną stroną tej sekty stanowi obowiązek wspierania uboższych jałmużną. Nie można także nie pochwalić ducha zgodności który pomiędzy nimi panuje, pokornego poddania się losowi, łatwości przebaczenia krzywd i uraz wzajemnych, tudzież owej niewinnej wesołości, która stanowi jedną z zasad ich religii. Ale z drugiej strony wstąpił do nienawiści ku wszystkiemu co nie wyszło z ciasnej głowy cadika, co się nazywa świecką mądrością

i dąży do rozświetlania praw przyrodzonych i wiekuijstych, stanowi stronę ujemną tej sekty.

\* \* \*

Późną już nocą wyruszyliśmy w drogę. A okropna to była droga, w całym tego słowa znaczeniu. Jeżeli nie błoto, to piaski, a jeżeli nie jedno i drugie, to wadyły, pnie, filgranowe mostki i pale, któremi tu groble wyściełają, słowem, jak ktoś powie-

tęj strony Świętej Woli widzieli. Gdzie spojrzysz pnie osmalone i korony drzew żółkłe, ziemia okryta węglem i popiołem. Owdzie walają się głównie niedopalone; tam sterczy ogromny pień czerniały; tu drzewo, niby zemdlone, nachyliło się i oparło na ramionach pokaléczonego sąsiada. Słowem — okropnie patrzeć.

Czasem, znienacka, ukaże się wśród lasu chatka zgarbiona, samotna, niby wędrowiec zabłąkany w pustyni. Nie ujrzyś koło niej najmniejszego śladu życia; płot rozwalony, ogród zielkiem porośły, z okien wygląda tajemnicza pustka, na ognisku domowym legną się żaby i węże. To chatka opuszczona... Jakiś dreszcz cię przejmie, jakbyś ujrzał trupa na otwartym polu. I jedno po drugim nasuwają się pytania: jacy ludzie tu żyli? jakie namiętności tu się ukrywały? kto ich zmusił do opuszczenia tej chaty? kto śmierć rozplecił tam, gdzie bujne krzewiło się życie?...

Lecz wróćmy do przerwanej podróży. Jedyną rozrywką w tej nocnej jeździe były często napotykane obozowiska Czumaków, którzy albo dlatego, że nie mogli zdążyć do odległej karczmy, albo też że żalowali wydać kilka groszy Żydowi za nocleg, postawiwszy swe wozy przy drodze, wyprzęgli konie i wyciągnęszy się przy ciągle podsycającym ognisku, poetycznie, choć niebardzo wygodnie, noc przebywali. A spotykaliśmy nieraz i takich śmiałków, co nie obawiając się wilków lub niedźwiedzi, sami jedni w ten spo-

sób noc przepędzali. Mylimy się jednak: Poleszuk, mając ogień i fajkę, nie jest sam jeden, bo

..... gdy człowiek frasowny,  
Najlepszy towarzysz, choć niezbyt wymowny,  
Jest ogień i lulka; gdy ogień ów błysnie,  
Człek dłużej smutnemi myślami nie kiśnie.

Wprawdzie przy blasku ogniska las jeszcze czarnej i posępnej wygląda, ale Poleszuk z tēm się oswoił. Las, to jego śpichlerz, jego bogactwo, a czasem schronienie. On bez lasu nie mógłby żyć, tak samo jak góral bez gór, jak rybak bez wody.

(Dokończenie nastąpi).

### Kościół Serca Jezusowego

W FORTECY GROŹNÉJ NA KAUKAZIE.

Dnia 22go. listopada 1864 r. poświęcony został murowany z cegły kościół katolicki w fortecy Gro-

(Ob. dodatek).

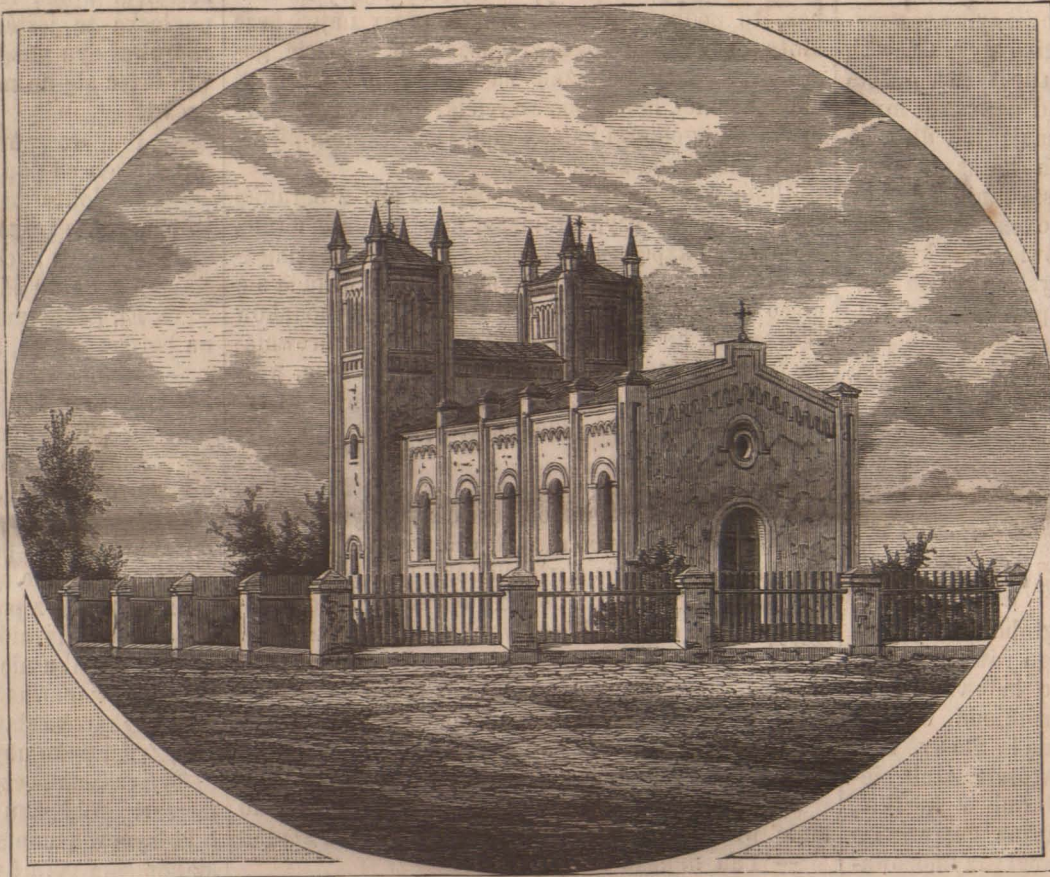
### Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 390.

Stońce oświeca ziemię, ale ślepego nie oświeci.

(Dodatek).



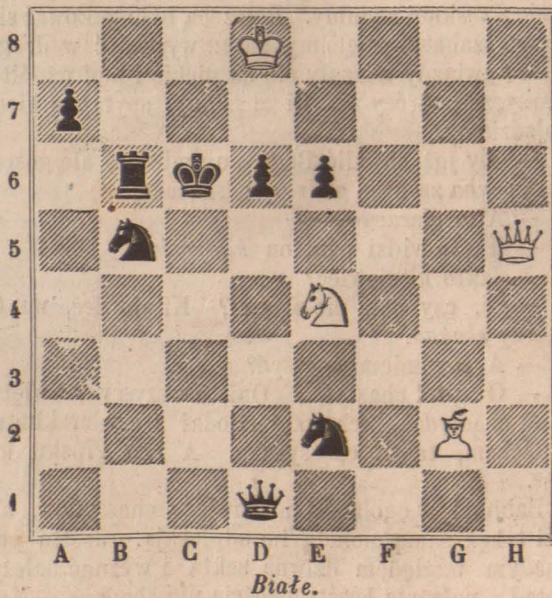
KOŚCIÓŁ SERCA JEZUSOWEGO W FORTECY GROŹNÉJ NA KAUKAZIE. (Podług nadesłanej fotografii).

### Szachy.

ZADANIE CCCXLVII.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 346.

Białe.

Czarne.

- 1) F3—D3 . . . 1) A4—B3 białą.
- 2) E1—G2 . . . 2) B3—D3 białą.
- 3) G2—F4+ i mat.
- 2) C4—C5 białą lub inaczej.
- 3) G2—E3+ i mat.

dział, chyba w piekle podobne drogi się znajdują. Gdyby nie jasny księżyc, co nam wszelkie grożące niebezpieczeństwa odkrywał, pewniebyśmy wjechali na nocleg do jakiego rowu lub strumienia, których tu pełno. Dzięki srebrzystym, łagodnym jego promieniom, oglądaliśmy krajobrazy prawdziwie pole-skie.

A dziwnie to krajobrazy! Stuletnie drzewa, po większej części sosny, niby bajeczne olbrzymy, suną się po nieprzeżranj równinie, a szerokie ich barki tak ku sobie zbliżone, że zdaje się dość wstrząsnąć jedno drzewo, aby to wstrząśnienie udzieliło się wszystkim. Fraszka tu wichry i niepogody, fraszka potężna łapa niedźwiedzia, lub ostry kiel odyńca, których tu odwieczne legowisko i stolica. Jeden tylko człowiek, władca puszczy i lasów, straszny jest dla nich. Jemu potrzebne pastwisko, jemu potrzebny kawał gruntu, któryby mu przyniósł kęs chleba, a urok puszczy, wiek sędziwy jēj niebotycznych drzew, pewnie go nie zatrzyma w raz powziętym zamiarze. Oto wstępuje do lasu zimny, obojętny, nieczuły, a w rękę jego.... krzesiwo. Błysnęła iskra i jakby przepadła w kawałku hubki, która też same drzewa wydały. Lecz silne piersi człowieka tchnęły w nią prąd powietrza i oto wysuwa się najprzód mały, potem większy i coraz większy języczek ognia... Sucha trawa zatrzeszczała, zasy-czały gałęzie, rozpekły się szyszki, buchnął dym kłębami, sunął się płomień w górę, objął w niszczący uścisk smukłą sosnę i jak zdradliwy kochanek, popełznął po gładkiej jēj łonie coraz wyżej, rozlał się kaskadą po gęstych jēj warkoczach, wleciał z hukiem pod obłoki i napelniwszy zgrozą wszystkich mieszkańców puszczy, spadł ślaniając się na sąsiednie drzewa. Wkrótce morze płomieni ogarnia las cały: ogień jak potok lawy, płynie po ziemi, jak uragan wlatuje w górę, jak błyskawica rozjaśnia czarną, ponurą chmurę dymu, co ponad lasem szeroko i grubo się rozłożyła. Piękny to, lecz zarazem i straszny widok! Wszystko co żyje ucieka z lasu; sam nawet człowiek ze strachem na to dzieło swoje spogląda.

Przed kilku laty byliśmy świadkami takiego po-żaru, który tu rok rocznie ludność miejscowa wznie-ca, celem użyznienia ziemi, lub przeredzenia lasu; dziś sameśmy tylko ślady tego spustoszenia z tam-



znęj, pod tytułem Serca Jezusowego, przy licznem zebraniu mieszkańców okolicznych.

Po uzyskaniu pozwolenia od rządu, położono fundamenta świątyni we wrześniu 1862 roku, a ukończono ją we dwa lata później, za co tém większa należy się wdzięczność mającym staranie około budowy kościoła, że kosztuje tylko 4,500 rubli. Obraz stosowny do tytułu kościoła, nadesłano w podarunku z Petersburga, organ zaś, a raczej fis-harmonia, kupiono w magazynie p. Orgelbranda.

Kościół stoi na lewym brzegu rzeki Sunzy, wpadającej do Tereku, przy placu i drodze do miasta, obok szpitala wojskowego i fortecy, obsadzony drzewkami, kwiatami i opasany parkanem. Wybudowany jest według planu nadesłanego z Tyflisu i jak to widać z załączonej ryciny, ma wieże w stylu goetyckim.

Po zebraniu większych składek, zapewne przystąpią do wybudowania przy kościele i domu dla księdza, który jest kapelanem terskiej prowincyi.

J. S.

## CICHA WODA BRZEGI RWIE,

Przysłowie dramatyczne w jednym akcie wiérsem,

przez

JANA CHECIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

### Scena 6.

WIKTOR, LUDWIKA, GERWAZY.

GERWAZY (wychodząc, *nb.* leciuchno podchmielony, prawie ciągle mówi ze śmiechem, zarozumiałością i podchwytuje własne wyrazy, biorąc je z wielkim zadowoleniem za dowcipy).

Toż się zabawiemy!

(witając Ludwikę)

Służeczka!

(spozstrzegłszy Wiktora)

A! pan Wiktor, mój rywal, (z żartobliwą [przesadą] o nieba!

Ale prawda, pobitych lękać się nie trzeba, Ja tak zawsze! Boś zginął, zapiérać daremno, Cóż chcesz, przy pięknych oczkach trudno walczyć [zemną,

Mam szczęście! (ciszej do Wiktora) i dla domków ser- [duszka łaskawsze...

Więc rywalu, pobityś, ha! ha! ja tak zawsze!

(do Ludwiki z przechwałką)

Dowcipnie powiedziałem!

WIKTOR.

Panie...

(Ludwika czyni proszące poruszenie, Wiktor, powściągnąwszy się, mówi n. s.)

To zawiele!

GERWAZY (zawsze z fantazyą)

Lecz nieboszczyku, wracasz jak raz na wesele, Dobry węch! kolacyjka... wiész, kocham cię zato! (Chce go uściskać, Wiktor się cofa. Gerwazy, przypominawszy sobie, nakrywa rękę połą fraka i chce ją podać Wiktorowi) Ożenionys!..

WIKTOR.

Nie, ale...

(Ludwika znów go powstrzymuje).

GERWAZY.

Proszę uniżenie!

Ha! ha! i w tém pobity, ja piérwój się żenię! Mnie wprzód Hymen do fraka wonny bukiet przy- [pnie!

Wonny bukiet... rozumiesz! (do Ludwiki) prawda że Ja tak zawsze! [dowcipnie...

WIKTOR (ciszej do Ludwiki).

Na Boga!...

LUDWIKA (do Wiktora).

Idź pan, czasu mało...

GERWAZY (dosłyszawszy).

Tak, tak, czasu niewiele, wdzięk frak, chustkę białą, I grzmij prosto do Fary, odwlekać nie można, Potém tu...

(ciszej, ściskając Wiktora, mimo oporu).

szampan, kremy, sarna prosto z różną!

WIKTOR (obarzony, wydarłszy się).

Ah!...

(wybiega)

### Scena 7.

LUDWIKA, GERWAZY.

GERWAZY (zawsze ze śmiechem).

A co, jak poleciał! zaraz nogi żwawsze, Umiałem go zachęcić... ha! ha! ja tak zawsze! No, serca mego damo, już wszystko gotowe, Staję przed panią w szaty przybrany godowe, Fraczek prościutko z igły, wszystko, wszystko świeże, Śliczna z nas będzie para, niech mię kaduk bierze! Karéta czeka, zatém z mamunią wsiadamy, I po błogosławieństwo wprost do mojej mamy; Tam są družbowie, druchny także się zebrały, Nawet odbyłem z niemi traktamencik mały, Toascik... ja tak zawsze, pokazać się lubię! Moja mama, wiész pani, nie będzie na ślubie, Podobnie jak twój papa... ha, tak się to darzy, Chorują, bo nie młodzi, nie młodzi, bo starzy. Prawda? dowcipnie mówię! młodym sto lat zdrowo! Ale karéta stoi...

(chce iść na prawo).

LUDWIKA.

Chwilę, jedno słowo.

Dzisiaj nasz ślub, lecz dotąd czekałam daremno, Abyś pan o przyszłości pomówił i ze mną, Bo dotąd tylko z mamą traktowałeś o mnie.

GERWAZY.

A cóż? wszakżem postąpił gładko i przytomnie, Ja tak zawsze! Nareszcie, nie mogłem inaczej, Bo prócz szanownej mamy, któż tutaj co znaczy? Nikt; nawet papa, wiecznie w swych księgach, po- [nury...

LUDWIKA (nieco urażona).

Panie...

GERWAZY (nie tracąc fantazyi).

Bo ja do książek mam wstręt od natury, Tak jest, dowcipnie mówię, mam wstręt!

LUDWIKA.

Mniejsza o to.

GERWAZY (siłąc się na powagę).

Jednakże o przyszłości zacząłbym z ochotą... Lecz przyszłość... niewidzialna... (ze śmiechem) a co [niewidzialne,

Tego widzieć nie można!... Zawsze dowcip palnę!

LUDWIKA.

Więc ja zacznę. Posłuszna macierzyńskiej woli, Szłam za nią, nie badając dalszej życia doli; Ale teraz, im bliższy ślub, święta przysięga, Co losy dwojga istot aż do grobu sprzega, Z tém większą trwogą patrzę w moję przyszłość całą, Bo widzę że groźniejsza niż mi się zdawało. Wszak i pan pragnie szczęścia, a przymus rzecz [zdrożna,

Zastanów się, dopóki wszystko cofnąć można, Parę słów, a z zawczesnej wyrwiesz mię pan trumny..

GERWAZY.

Dalibóg nie rozumiem, a jestem rozumny!

(chwyta własne wyrazy i śmieje się).

Rozumny nie rozumię! ot masz, powiem szczerze, Głupieję, zkąd się u mnie taki dowcip bierze!

LUDWIKA (niecierpliwie).

Ależ panie!

GERWAZY (idąc za swoją myślą).

To widać, tak, przychodzi samo...

LUDWIKA.

Ah!...

GERWAZY (do Ludwiki).

Ale ja wiem wszystko, mówiliśmy z mamą, Z pani mamą, nie z moją, bo mamy dwie mamy... (znów podchwytuje swoje wyrazy j. w.)

Mamy mamy! wybornie! (do Ludwiki) my się na tém [znamy!

Mama mnie ostrzegła na przypadek wszelki, Że będą łyzy, wzdragania, wymówki, figielki. Przed ślubem panny zwykle kapryśniejsze, łzawsze, Ale my zato górą, ho, ho! ja tak zawsze! A co, moja królowo, tego powiedziane! ...

LUDWIKA (siłniej).

I z jakimże ja czołem u ołtarza stanę, Jak wykonam przysięgę? ja nie kocham pana!

GERWAZY.

Co? pani mnie nie kochasz? to rzecz niesłychana! Piérwszy raz coś takiego słyszę w życiu całym!

(d. s. z zadowoleniem)

Słyszę rzecz niesłychaną!

(do Ludwiki)

Dalibóg zgłupiałem!

Ja, nie głupi, zgłupiałem! (d. s.) czy diabli nadali, Człowiek prawie co słowo jakiś dowcip pali!

(do Ludwiki)

Ależ pani, ja, w którą obróć się stronę, Wszędzie do płci nadobnej mam szczęście szalone! Ja wiem że z żalu po mnie i dziś, o tój porze, Jakaś wdówka usycha, choć mokro na dworze, (z zadowoleniem).

Usycha, chociaż mokro! choć mokro, usycha! Ha! ha! (do Ludwiki) pewno tam Basia popłakuje [zicha!...

Więc to się tylko zdaje teraz w tój godzinie, Ale pani mnie kocha, pani za mną ginie, Pani za mną przepada, choć pani tu stoi. Przepada! choć tu stoi! patrzcież państwo moi, Znow dowcip!

LUDWIKA (d. s.)

A! i to się człowiekiem nazywa!

(do Gerwazego)

Nie, nie panie! ja z panem nie będę szczęśliwa!

GERWAZY.

Co? nie?

LUDWIKA.

Ani pan zemną!

GERWAZY.

A to kto powiedział?

LUDWIKA.

Widzę jasno; zbyt wielki między nami przedział. GERWAZY.

Jaki przedział? mnie żaden przedział nie wiadomy; Nie będziemy szczęśliwi? od czegoż dwa domy? Nacożem lokatorom podwyższył komorne? Nacom z piwnic porobił mieszkania wytworne? Ależ będziem szczęśliwi, będziem co się zowie, Rumiani i tłusciuchni, jak dwaj aniołkowie... Jak aniołkowie!... pysznie!... ha! ha! słyszy pani? Tylko że przywoicięj cokolwiek ubrani!

(wybuchając śmiechem)

Ha! ha! ha! ha! znów koncept, ot jak człowiek [w werwie,

Tnie dowcip za dowcipem, sam diabeł nie przerwie!

LUDWIKA.

Panie! na miłość Boską, rozmówmy się szczerze!

GERWAZY (ścisze śmiejąc się).

Ale daj pani pokój, ja w nic nie uwierzę!

LUDWIKA.

Co?

GERWAZY (j. w.)

Przed weselem każda, i pani tak samo, Wiem, figielki!... mówiłem że mówiłem z mamą, Mówiłem że mówiłem!... wybornie się składa!

LUDWIKA.

Ale przysięgam panu...

GERWAZY (ciągle ze śmiechem).

Ale trudna rada,

Nie uwierzę!

LUDWIKA.

A! to śmierć!

GERWAZY.

Gdzie śmierć? bajka szczerza, Mąż, nie śmierć, od małżeństwa żadna nie umiera.

LUDWIKA.

Ja ucieknę!

GERWAZY.

Królowo, pozamykam bramy.

LUDWIKA.

Nie pójdę do ołtarza!

GERWAZY.

My się na tém znamy!

Figieleczk! nie pójdę... a iskrzą się oczy, A serduszko do ślubu mało nie wyskoczy!... Mąż o dwóch kamienieczkach, to kęsok łakomy... Mam dwa domy i dowcip... dowcip i dwa domy! Idę więc po mamunię, bierzem ślub i kwita! A co? ze mną niełatwo, królowa pobita; Choć nie bita, pobita! ha! ha! ha! przedziwnie, Dowcip leci, choć człowiek i palcem nie kiwnie! Ja tak zawsze! mam rozum! nie mnie brać na kawal! (z mochem śmiechem odchodzi na prawo).

### Scena 8.

LUDWIKA (sama).

Nie! on mi się tak głupim nigdy nie wydawał! I co tu począć? wszystko do ślubu gotowe...



Miałabym ślamazarnie spuścić na pierś głowę,  
I teraz, gdy znów uśmiech w mojej duszy gości,  
Gdy wraca wymarzoną nadzieją przyszłości,  
Z tęp bożyszczem głupoty stanąć u ołtarza?  
Nie, tak wielkie ofiary tylko rozpacz stwarza;  
Ja muszę się ratować, ale jak? mój Boże!...  
Gdybym czuła że ojciec choć zwłokę wymoże,  
Łatwiej byłbym... Wszak, co u nas przytrafia się rzadko,  
Przed godziną rozmawiał dosyć długo z matką,  
Rozmawiał o mnie... któż wie?...

(chce iść do pokoju na prawo).

GERWAZY (za sceną).

Tak mam, już pora!

### Scena 9.

DOROTA, LUDWIKA.

LUDWIKA (spotkawszy wchodzącą matkę).

Moja matko!...

DOROTA (wzburzona, mówi zezszonym głosem).

Wiem duszko, widziałaś Wiktora,  
I ztąd nowe kaprysy, dziś, teraz, w tej chwili,  
Gdy rodzice o los twój kłopotu się zbyli,  
Gdy ojciec żyje myślą, że twoje zameżcie  
Jemu na na starość ulgę, a tobie da szczęście...

LUDWIKA (żywo).

Ojciec?

DOROTA.

A ojciec, ojciec.

LUDWIKA (n. s. zasmucona).

To i po odwadze.

DOROTA.

Alem nie malowana, z uporem poradzę,  
Po głupocie rozsądek nadejdzie z kolei,  
Będiesz mi potem wdzięczna.

LUDWIKA (j. w.)

To i po nadziei!

Więc ojciec...

### Scena 10.

GERWAZY, DOROTA, LUDWIKA.

DOROTA (do Gerwazego, który wchodzi, niosąc na ręku okrycie Ludwiki).

No, czas jechać.

GERWAZY.

Oj to, to, i wielki!

LUDWIKA (ciszej do matki).

Słowo...

DOROTA (podobnie do Ludwiki).

Ani słoweczka!

GERWAZY (do Doroty ze śmiechem).

Czy jeszcze figielki?

DOROTA.

Wcale nie.

GERWAZY.

Nie? tęp lepiej! Ale cóż za dziwy?

Mam szczęście, a kto w szczęściu, musi być szczę-

[śliwy,

Bo nieszczęśliwym w szczęściu przecież nie zostanę,  
Byłbym głupi, nieprawdaż?... Tęgo powiedziane!

LUDWIKA (d. s. jakby z tajemnym postanowieniem).

Ha! dobrze.

DOROTA (posuwając ją ku Gerwazemu).

Bierz okrycie.

GERWAZY (podając okrycie).

Otóż tak to lubię!

(ze śmiechem)

A co? czyja wygrana?

(podaje rękę Dorocie)

LUDWIKA (do siebie, wychodząc).

Jeszcze nie po ślubie!

(Gerwazy i Dorota wychodzą za Ludwiką).

### Scena 11.

ROCH (wchodzi zwolna z prawej, we fraku i całym stroju nie najświeższej mody, patrzy za odchodzącymi, potem idzie do okna).

Poszli.

(patrzając oknem)

Wsiadają—wsiedli. Jadą—pojechali.

(popatrzawszy chwilę za nimi)

Doprawdy, trzeba serca z granitu, ze stali,  
Żeby nie pękło, widząc jak fatum druzgocze  
Jedyną twą nadzieją ogniwo urocze!

(przechadza się i potrosze uspokaja).

Trudno, homo proponit, Deus... rzecz skończona.

Cienie mych mistrzów, do was wyciągam ramiona,  
Nauczcie mnie stałości, bym w tę ciężką chwilę  
Zniósł mężnie nowy zawód, jak już zniósłem tyle!

(po maleńkiej pauzie)

Lecz Wiktor, Wiktorzysko, co goni po świecie  
Za przyszłością... do licha, on ją kochał przecie...

Myslałem że i ona... ot, człowiek jak w lesie...

Wiktor ani śni biédak jaki cios poniesie,  
Szczęście że go tu niema; to młode, ogniste,  
Gotowe do szaleństwa... aj! brońże go Chryste!  
Mnie łatwiej, bom z boleścią oswojony dawno...

(po chwili).

No, ale moja córka może zostać sławną,  
Bo ręczę, żadna z pańien, od świata poczęcia,  
Nie wybrała na męża takiego bydlęcia!

### Scena 12.

ROCH, WIKTOR.

WIKTOR (wchodząc głębią).

Sługa!

ROCH (jak oparzony).

He? co? jak? Wiktor!

WIKTOR.

On sam.

ROCH.

Ty w Warszawie?

(na stronie)

Masz sobie!

(głośno)

Tu? dziś? teraz?...

WIKTOR (biegnie uściskać Rocha).

Od dwóch godzin prawie.

ROCH (ściskając go).

Jak się masz?

WIKTOR.

Jaknajlepiej.

(po uścisku)

Gdzie profesoro wa,

Panna Ludwika?

(idzie ku drzwiom na prawo)

ROCH (na stronie).

Dobryś! biédna moja głowa!

(głośno)

Zaraz...

(na stronie)

Więc on nie nie wie.

(głośno)

Zobaczysz je zaraz...

WIKTOR.

Są w domu?

ROCH (wskazując na prawo).

Ehe, są... tam.

WIKTOR (n. s. uspokojony),

Aha!

ROCH (n. s.)

Jest ambaras!

WIKTOR (z uśmiechem).

Pewno przy toalecie...

ROCH.

Tak... więc nie wypada...

(na stronie)

Jak go tu przygotować?

(głośno)

Cóż twoja posada?

Masz ją?

WIKTOR (wydobywając list żywo).

W tej właśnie chwili odebrałem wieści,  
Że Rada wychowania tutaj mię pomieści,  
Dlatego na prowincyi papiery wstrzymane.  
Zapewne w Szkole Głównej katedrę dostanę.

ROCH (ściskając go).

Chwała Bogu! wieszując duszą, sercem całym,  
Z odświeżonym do pracy weźmiesz się zapałem,  
I znów będziemy bliżej; to jakoś się klei  
Pomyślnie...

WIKTOR.

Tak; i jeszcze nie stracił nadziei,  
Że nas silniejszy węzeł połączy nazawsze.

ROCH (n. s.)

Aha, jest!

(głośno)

Jakto?...

WIKTOR.

Że mnie niebo najlaskawsze

Obdarzy droższém szczęściem, jeżeli rodzice...

ROCH (n. s.)

No, to jak wół wyraźne, mówi o Ludwice....

(głośno).

Ależ...

WIKTOR (jakby z wyrzutem)

A! profesorze, czyż wiele potrzeba,  
Aby głęboką miłość, ten jasny dar nieba,  
Którego z ogniem duszy połączona władza  
Nawet w najskrytszej piersi swe istnienie zdradza,  
Odgadnąć doświadczone jak twoje spojrzaniem?  
O, pan wiesz jakim dawno goreję płomieniem,  
Wiesz, kiedy moje szczęście, dotąd niezupełne...

ROCH.

No, tak... lecz...

(na stronie)

Eh! tu nie czas owijać w bawełnę.

(głośno)

Tak, zdradziłeś uczucie słowem i obliczem,  
Więc ja wiem, ale widzę ty nie wiesz o niczem.

WIKTOR.

Przeciwnie.

ROCH (mocno zdziwiony).

Co?

WIKTOR.

Wiem wszystko.

ROCH (wpatrując się w niego).

Wiesz? i z jasnym

[czołem...

Bez troski? Eh! to chyba ja cię nie pojąłem...

Boś mówił...

(jeszcze niedowierzając)

Wiesz że Ninia...

WIKTOR.

Wiem, lecz Bogu

[chwała..

ROCH.

Że Ninia idzie...

WIKTOR.

Za męża.

ROCH.

I kogo wybrała?

WIKTOR.

Wiem.

ROCH.

I jesteś spokojny, zdrow, przy apetycie,  
Nie rozpaczasz, nie schudłeś, sypiasz należycie,  
A ja... Al! święć się nomen Dei gloriosum!

(całując go z radością)

Przepraszam cię, Wiktoru, widzę że masz rozum!

WIKTOR.

Jakto?

ROCH.

A naturalnie, ja myślałem sobie:  
Ten chłopak oszaleje, nie wiem co z nim zrobić;  
Toć zawód młode serce najgłębiej rozdziera,  
I już widziałem w tobie drugiego Wertera.  
Tymczasem ty umiałeś zwyciężyć w potrzebie,  
Pojąłeś że z Ludwiki żona nie dla ciebie.

WIKTOR.

Nie dla mnie?

ROCH.

Oczywiście; ja radbym mieć zięcia  
Jak ty; lecz nazbyt różne są wasze pojęcia;  
Do twojego umysłu, jój, pieczeni chciwy,  
Podobny jak pantofel do lokomotywy.

WIKTOR (zdziwiony).

Co?

ROCH.

Wierzaj, w mojej głowie myśl się nie wałęsa,  
Że można żyć miłością bez chleba i mięsa;  
Ale się przecie obaj twierdzić nie ośmielim,  
Że strój modny i pieczęć głównym życia celem;  
A że panna Ludwika tylko bytu chciwa,  
Sam jój cudowny wybór jasno przekonywa.  
Tak Wiktorze, to wcale nie dla ciebie żona...

(odsuwając się od niego, mówi ciszej do siebie)

To jest gęś, co dla żeru idzie za gawrona.

WIKTOR.

Zmiłuj się profesorze, co mówisz? tyś w błędzie,  
Tak źle nie było, nie jest i da Bóg nie będzie!  
Potępiasz własną córkę...

ROCH (silnie).

Szczerłość mojem godłem,



Potępiam, bo się na nią zbyt srogo zawiodłem.

WIKTOR.

Ależ ja z nią mówiłem, tutaj przed godziną...

ROCH.

Mówiłeś?

WIKTOR.

Wiem co było wszystkiego przyczyną;

Ją znagliły...

ROCH (przerwywając z goryczą).

Dwa domy.

WIKTOR.

Cóż znów!

ROCH.

Pieczeń, zrazy.

WIKTOR.

Eh!

ROCH.

Gałganki!

WIKTOR.

Na Boga!...

ROCH.

I głupi Gerwazy.

WIKTOR (zniecierpliwiony).

Plotki!

ROCH (nie zrozumiałwszy).

Weale nie plotki, i ja z nią mówiłem, wiem z własnych ust Ludwika jak wielce jej miłem zamęcie, w którym reszta mej nadziei kona, a na które przystała przecież niezmuszona.

WIKTOR (mocniej).

Niezmuszona?

ROCH.

Bynajmniej; zmuszać rzecz bezbożna,

I ręczę...

WIKTOR (coraz niespokojniejszy).

A przez litość... to zwarzować można!

Teraz ja się znów pojąć nadaremnie siłę...

(zwracając się do Rocha)

Profesorze, bądź łaskaw, poproś je na chwilę...

ROCH.

Kogo?

WIKTOR.

Pannę Ludwikę.

ROCH.

He?

WIKTOR.

I twoją żonę;

Wszakże z moją posadą już prawie skończone, mam pewność; pomówimy serdecznie, bez waśni, i wtedy się dopiero rzecz cała wyjaśni.

ROCH (patrzając na niego z podziwieniem).

Więc ty jeszcze?...

WIKTOR.

Ludwika dziś mnie zapewniła,

że ją żadna z Gerwazym nie połączy siła.

ROCH.

Ona!?

WIKTOR.

Tak jest.

ROCH (biorąc się za głowę).

A! niech jej Pan Bóg nie pamięta!

Widocznie chciała w tobie pozbyć się natręta

i popełniła kłamstwo w tej tylko rachubie;

toć oni przy ołtarzu, pewno już po ślubie.

WIKTOR (jakby piorunem rażony).

Co?!

ROCH.

Dawno pojechali.

WIKTOR.

Oni?... profesorze!

Mówiłeś...

(wskazuje na drzwi z prawej)

ROCH.

Bom się lękał...

WIKTOR.

Nie! to być nie może!

(biegnie w głąb po kapeluszu)

ROCH.

Co czynisz?

WIKTOR.

Ja myślałem że wszystko wstrzymałem!

Biegnę...

ROCH (zastępując mu).

Gdzie? czyś oszalał?

WIKTOR.

Może ich zastanę...

Wstrzymam... zerwę!

ROCH (chwytnąc go za rękę).

Co zerwiesz? hola, ani kroku!

WIKTOR (z mocą).

Lecz pan nie wiesz...

ROCH.

Lecz ogniu! miéjże na widoku

Co ztąd wyniknie; zwolna, pofolguj w zapale!

(stanowczo)

Zresztą, czego ty pragniesz, ja nie życzę wcale,

Ja! a mam prawo.

WIKTOR (zdziwiony).

Jakto?

ROCH.

Tak, mój młody panie,

I gdyby można cofnąć co się nie odstanie, Zanadto cię szanuję, zawysoko cenię, Abym pobłogosławił wasze połączenie, Abym, po swojej myśli chcąc pozyskać zięcia, Pchnął cię w przepaść, o jakiej dziś nie masz pojęcia. Podziękuj raczej Bogu że ci tak wypadło, Ty nie wiesz jakim piekłem źle dobrane stadło, Nie wiesz w jaką torturę życie nam pochwyca Dwojga dusz, serc, umysłów tak wielka różnica. To co krok zawód, boleść, wstręt, rozczarowanie, Których odcieni zliczyć ani byłbyś w stanie, To dwa sprzeczne żywioły wspólną pchniętą drogą, Co się nigdy, wraz idąc, zjednoczyć nie mogą. Tak, mój panie Wiktorze!

WIKTOR (idąc za swoją myślą).

Ależ to okropnie!

(siada bezsilny i zakrywa twarz rękami)

ROCH.

Ja wiem, bom tej męczarni przeszedł wszystkie sto-  
Bo pozyskawszy serce, zaufałem sobie [pnie,  
Że i wyobrażenia jak zechcę przerobię.  
Tymczasem, widząc jak ta istota deptała  
Każdą świętość mej duszy, co nie tuczy ciała,  
Widząc wszystko czém żyłem, gdzie biegł zapał [hardy,

Niepojętém, wydrwioném, celem prawie wzgardy,  
Czując że trudno walczyć o najłżejszą zmianę,  
Odstąpiłem i zwolna dałem za wygrane;

(wskazując na prawo)

Zamknąłem się samotny tam... gdzie książka, praca,  
Rozkoszą wiedzy czasem dni moje ozłaca,  
Gdzie nieraz w smutku jeszcze żywiłem nadzieję,  
Że mi dziecko pociechą kiedyś zajaśnieje,  
Że wydam córkę za mąż przecie za człowieka,  
I że przy nich choć starość znośniejsza mię czeka.

(machnąwszy ręką)

I tu zawód!... z Ludwiką przebywałem rzadko,  
Była długo na pensji, potem zawsze z matką,  
Jednak zdawało mi się od chwili do chwili,  
Że się władzami ducha więcej ku mnie chyli.  
Gdzie zaś!... masz!... dzisiaj dowód najlepszy zyska-  
W kogo się z dwojga wdała i duszą i ciałem.. [hem,  
Będzie uczciwą, dobrą, skrzętną gospodynią,  
Jej zabiegi dom trzeci mężowi przyczynią,  
Utuczy go i będą w tłustych dzieci gronie  
Oboje wyglądali jak dwa spaseł słonie,  
Lecz nic więcej, rozumiesz? Szczęście nad wyrazy!  
Szczęście, którym wyższe człowiek jak Gerwazy,  
Nie jak ty!...

WIKTOR (zrywając się nagle).

Nie! nie! tutaj fatalności ręka

Pana błędem, mnie strata, ją przymusem nęka!

Toć-że się moje zmysły cieszą jeszcze zdrowiem

I cokolwiek się stało, skoro ci opowiem

Każdy szczegół, osądzisz, że onaby przecie

Nie mogła...

LUDWIKA (za sceną, żywo, jak do służącej).

Ojciec mówisz w swoim gabinecie?

Dobrze!

WIKTOR i ROCH (obracając się ku drzwiom, następnie spo-  
strzegając wbiegającą Ludwikę).

Co to?... Ludwika!!

(Dokończenie nastąpi).

## ANTONI OLESZCZYŃSKI (\*).

Życie znakomitego artysty zajmujący stanowi przedmiot dla społeczeństwa które go wydało. Łatwo to wytłumaczyć. Ogół pragnie znać tego, który pędzłem, czy ryłcem albo dętym, dźwiękiem czy słowem, wyraża myśl współziomków i na polu sztuki potęgą wyobraźni odtwarza to, co naród ukochał, co wysnuł z łona swego, czém żyje.

Któż z nas nie garnie się skwapliwie do pracowni wielkich artystów, aby myśl ich pochwyć niejako w przelocie, aby podłuchać uderzenia ich serca, w chwili gdy tworzą? Nic bowiem miłszego dla człowieka czującego w sobie ideał piękna, ideał prawdy, jak widzieć owe idee rozwijające się pod młotem, pędzłem albo ryłcem. Z tego to samego powodu wyższe umysły ciekawe są najdrobniejszych szczegółów życia znakomitego myśliciela-artysty; bo życie artysty, nie jest-że to wielka pracownia, w której duch twórczy, potracany tysiącem sprzecznych uczuć i wrażeń, czerpie natchnienie pełną piersią, w której zbiera cierpliwie a wytrwale barwy do swych obrazów?

Jak się zdarza niekiedy, że z bezładnej i zaniedbanej pracowni mistrza, wychodzą arcydzieła zdumiewające twórczą potęgą, tak też bywa, niestety nazbyt często, iż w życiu wielkich artystów napotykamy ujemne strony, sprzeczne z zasadą piękna i prawdy, odbijającą w ich utworach. Nieraz też biograf znakomitego mistrza, zmuszony jest albo ukrywać rażące jego błędy, albo osłaniać je wysokim talentem. Jakże nam zato błogo, gdy kręśląc życiorys artysty, nie potrzebujemy nic ukrywać ani tłumaczyć, gdy między życiem a utworami spostrzegamy harmonijny związek, który sprawia że stawiając jego prace za wzór młodszym artystom, możemy zarówno obrazem nieskażonego żywota zbudować ich serca i umysły.

Życie Oleszczyńskiego, w połączeniu z jego utworami, stanowi właśnie taką harmonijną całość, godną naśladowania. Życie jego tak jest czyste, tak artystycznie piękne, że niewiadomo prawdziwie, czy więcej należy go kochać jako człowieka pełnego niewinności, czy też podziwiać jako artystę.

Antoni Oleszczyński urodził się r. 1794 w miasteczku Krasnymstawie, gdzie ojciec jego był urzędnikiem.

Pierwsze nauki rozpoczął chłopczyk w Kurowie, dokąd się rodzice przenieśli, pod okiem sławnego księdza Grzegorza Piramowicza. Gdy się poduczył trochę czytać i pisać, ojciec oddał go do Opola, gdzie były wyborne szkoły księży pijarów, o sześciu klasach, w których do 300tu młodzieży pobierało wychowanie. Przy wrodzonej zdolności, nauka szła mu łatwo, a obdarzony z urodzenia artystycznym zmysłem, wielkie czynił postępy w muzyce, do czego ojciec, sam także biegły muzyk, gorliwie go zachęcał. Ledwie że się obznajmił z pierwszemi zasadami tej sztuki, już pochwycał smyczek w lewą rękę, wygrywał na skrzypcach polonezy i mazury ówczesne, z wielką pociechą rodziców. Co więcej, jako śpiewak występował na chórze kościelnym i na zaimprovizowanym teatrze amatorskim, w dniu imienin księcia Lubomirskiego, dziedzica Opola.

Po usilnej kilkoletniej pracy, młody uczeń tak postąpił w naukach, że mu oddano pod opiekę nie tylko młodszego brata Seweryna, lecz i kilku innych mniej posuniętych kolegów, z obowiązkiem przewodniczenia im w nauce. Tak zatem nauczając drugich, młody Antoni nabywał sam tém gruntowniejszych wiadomości, a mentorując kolegom, tém więcej baczył na własne postępowanie, aby usprawiedliwić położoną w nim ufność.

Nauki w Opolu wykładane były po większej części w języku niemieckim, lecz podczas wakacyj w domu światłego ojca znajdował młodzian obfite źródła do poznania dziejów i literatury ojczystej. Korzystał też z nich wybornie, bo zamiłowany w pracy, nie odstraszał się żadną trudnością i umiał każdą chwilę na własny obracać pożytek.

Szkoły opolskie, obyczajem ówczesnym, miały sześć klas: parwę, infimę, gramatykę, syntaksis,

(\*) W Nrze. 303 naszego pisma daliśmy popiersie i krótką biografią Antoniego Oleszczyńskiego. Otrzymałszy obecnie obszerniejszy życiorys tego znakomitego rytmownika pióra zasłużonej w piśmiennictwie naszym pani Seweryny z Żochowskich D., podajemy go tém chętniej, że czerpany jest z własnoręcznych pamiętników Oleszczyńskiego. (Przyp. red.)



poetykę i retorykę. Gdy młody uczeń doszedł do poetyki, przybrał postać poważną, odpowiednią swjej godności; *poeci* bowiem, (jak zwano uczniów piątej klasy) siedzieli już w ławkach w kościele, nosili chorągwie za procesją, baldachim nad księdzem i wypisywali dumnie na kajetach owo godło Horacyusza: *Poëtis et pictoribus omnia licent*. Poetom i malarzom wszystko wolno.

Antoni wspominał często ów przywilej. Raz, powtarzając go, przyszło mu na myśl, że w połowie tylko może go do siebie zastosować, gdyż będąc poetą, nie jest bynajmniej malarzem. Zapraśnił go rąco wyuczyć się rysunku, lecz na nieszczęście brakło mu wzorów i nauczyciela. Profesor jeden, ks. Kolondowski, widząc jego usilne chęci, począł mu nareszcie pokazywać pierwsze zasady sztuki, w której sam niebardzo był biegłym.

Uszczęśliwiony młodzian po kilku lekcjach nakreślił arabeski i fantastyczne kwiaty i na tak przystrojonym papierze, napisał list do rodziców. Ojciec, przypatrzawszy się tym pierwszym próbom, przysłał mu w odpowiedzi farby i wzory, nietylko rysunku, lecz i kaligrafii, zachęcając go, aby pracował nad wyrobieniem sobie ręki do porządnego i pięknego pisma. Rady ojca padły na dobrą rolę; Antoni wkrótce wybornie naśladował angielskie wzory, a chcąc przekonać ojca o postępach swoich tak w piśmie jak w rysunku, przesłał mu na kilku kartkach piękne kaligraficzne próby swego pióra, jedną zaś z tych kart otoczył kaliną, barwinkiem i rozkwitłymi różami.

Przyglądając się dziełu swemu, spostrzegł że nad jednym *i* nie dostawało kropki; dodał ją więc, lecz nieszczęściem kropla atramentu spadła z pióra i kilkodniowa praca poszła w niwecz.

Zakłopotany młodzian pobiegł co żywo do profesora i błagał o ratunek; ten też, niewiele myśląc narysował chrzabaszczą w miejscu plamy. Zręczny wybieg nie uszedł jednak przenikliwego wzroku ojca, który pochwalił pismo, lecz radził synowi, aby odtąd unikał *podejrzanych chrzabaszczków*.

Młody uczeń ani się wtedy domyślał, że ten właśnie chrzabaszcz, który tyle sprawił mu kłopotu, wpłynie stanowczo na jego przyszłe losy.

W rok potem, po ukończeniu najwyższej klasy zwaną *retoryką*, Antoni powrócił na czas jakiś do rodziców, którzy mieszkali podówczas w Kaźmirzu, nad Wisłą. Korzystając z wolnego czasu, zabrał się wtedy pilnie do odczytywania dawnych historyków, Kadłubka, Długosza i Gwagnina, których dzieła znalazł w domowej bibliotece.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Przegląd teatralny.

Teatr Rozmaitości. — Portrety kochanka i męża, komedia w jednym akcie ze śpiewkami.

Komedyjki jak ta o której mamy mówić, to ruchawka przychodząca w pomoc regularnemu wojsku dramatycznemu, kiedy idzie o zapelnienie miejsca. Szczególniej w teatrze Rozmaitości u nas tego rodzaju sztuczki bardzo są przydatne na przyłatanie do większej komedyi, kiedy ta nie starczy na całe widowisko. Idzie tylko o wybór; komedyjki bowiem takie na francuzkich teatrach wcale się skromnością treści i trzeźwością wyrażenia nie zalecają. A na pochwałę publiczności warszawskiej musimy powiedzieć, że od pewnego czasu karnawałowe farsy nie znajdują tak licznych jak dawniej zwolenników, i po dwóch albo trzech przedstawieniach idą w zapomnienie.

Otóż zdaje nam się że komedyjce Portrety kochanka i męża odmienny los przeznaczony. Jest to dowcipny dyalog Paryżanina i Paryżanki, spotykających się w izbie hotelowej, w krótkim czasie odzielającym przyjazd pociągu kolei żelaznej od odejścia dyliżansu. Desiré Colombine i Anna Durand, oboje bardzo wesołego usposobienia, wprędce zabięrają znajomość; rozmowa zaczyna się toczyć o miłości i małżeństwie i przychodzi im myśl odegra-

nia tych ról, stanowiących główne tło komedyi (jak mówi Beaumarchais) towarzyskiego życia. Wszystko tu na grze zależy, bo rozmowa taka, żywo i wesoło wypowiedziana, musi się podobać koniecznie. Tak się też i stało. Sceny małżeńskie, odegrane w domu na balu, powiodły się wybornie; było z początku niezadowolone, dalej rozterka domowa, a następnie zazdrość, spowodowana upodobaniem pani w walcu i polce. Składniej jednak i autorowi i artystom idą portrety męża i żony, aniżeli kochanka i kochanki; widać że o dobrą sprzeczkę małżeńską, zdwojoną zazdrością, łatwiej aniżeli o miłosne gruchanie. Prawda że rola kochanków rwie się co chwila, jako prowadząca do zbyt drażliwych położeń, których widocznie Anna Durand, skromna panienka, pragnie uniknąć, wołając trochę jak w znanj bajce Krasińskiego:

Chłopcy przestańcie, bo się źle bawicie.

Naturalnie pokazuje się w końcu, że to dwaj narzeczeni, którzy nie wiedząc o tém i podążając w jedną drogę, spotkali się na stacyi, ku wielkiemu dziwowi garsona, stanowiącego pocieszne dopełnienie tego miłosnego dzieła.

Dla pani Bakałowiczowej każda rola tego rodzaju jest zawsze nowym zwycięstwem odniesionem nad publicznością. Ujmują w tej artystce prostota i niewinna kokieterya, które nietylko samemu panu Colombine mogłyby głowę zawrócić, a piosenki przesłuchanie odśpiewane, dodają jeszcze wdzięku temu obrazkowi, który zbyt szybko znika przed oczami oczarowanych widzów. A wielkiemu trzeba zręczności i miary, żeby w tych tańcach solo z urojonemi tancerzami nie okazać się trywialną; często taka błaża na pozór rolka, trudniejszą jest do odegrania od roli większych rozmiarów zwykłej komedyi salonowej. Autor bowiem wyłącznie rachuje tylko na artystkę, szerokie zostawiając pole jej werwie i scenicznemu wyrobieniu.

Pan Tatariewicz w roli Colombine'a usilnie starał się dorosnąć do miary ujmującej postaci przez panią Bakałowiczową przedstawionej. Artysta ten coraz więcej okazuje zdolności do takich lekkich rolek, w których wszystko na powierzchni chwytac trzeba, a przyjemny głos jego dobrze się nadaje do śpiewek wodwilowych. Nie zawadziłoby jednak trochę więcej swobody w ruchach i niewymuszonej wesołości, zwłaszcza w wyrazie twarzy, który niezawsze idzie w ślad za zartobliwem usposobieniem wypowiedzanem w słowach, tak iż zdaje się niekiedy jakby artysta zmuszał się tylko do uśmiechu, ku któremu trudno mu się jakoś nagiąć. Należy się tak zespolić z rolą, żeby na scenie można już zapomnieć o niej i drugą z niej sobie stworzyć naturę.

Wacław Szymanowski.

### Przedmiot obrazu Simmlera.

Wiadomo że znakomity nasz malarz, Józef Simmler, przygotował na wystawę paryżką obraz przedstawiający królową Jadwigę, w chwili gdy odprysnęła zarzucone jej przez Gniewosza wiarołomstwo małżeńskie. Piękny ten utwór sztuki w tych dniach wysłany już został na miejsce swego przeznaczenia. Zanim więc, korzystając z łaskawie udzielonego nam pozwolenia artysty, pracę jego odtworzymy w kopii drzeworytniczej, obeznamy tymczasowo czytelników z jej treścią. Artysta wziął za temat następny z dziejów polskich wypadek.

Władysław Jagiełło, z natury podejrzliwy, wydając się w r. 1386 na Litwę, zlecił sekretnie poufnikowi swemu Gniewoszowi z Dalewic, aby śledził kroki małżonki jego, królowej Jadwigi. Gniewosz, chcąc sobie tém większe zapewnić znaczenie i tém obfitsze myto zagarnąć, nie wzdrygnął się, w braku rzeczywistych tajemnic do wyjawienia, użyć najsromotniejszego oszczerstwa. Skłamał tedy przed królem, że pomiędzy gośćmi zagranicznymi, którzy podczas jego nieobecności nawiedzali zamek królewski, znajdował się także książę Wilhelm, niegdyś narzeczoną Jadwigi, że był przebrany za kupca i że królowa widywała się z nim. Jagiełło

przyjął z rozjątrzonem sercem te wieści, a nie umiając ukryć niczego, skoro powrócił w r. 1387 do Krakowa, dał niebawem uczuć nieszczęśliwej małżonce, że przenika jej wiarołomstwo. Zaczęły nastąpiły rozterki domowe i obelgi, a gdy królowa wniosła prośbę i nalegała na to, aby zaskarżenia Gniewosza publicznym rozstrząśnione zostały sądem, król i panowie musieli przyzwolić na owę jawną sprawę. Rzeźbiony akt odbył się według wszelkich przepisów ówczesnej procedury sądowej, czyli statutu wiślickiego. Królowa Jadwiga zapozwała Gniewosza o potwarz czci niewieści, przewidzianą osobnym paragrafem statutu. Wyznaczono obżałowanemu rok sądowy w Wiślicy. Że zaś paragraf tegoż statutu uchylał osobiste stawanie niewiast przed sądem, pozwalając im wybrać sobie pełnomocnego zastępcę, królowa tedy wybrała takim znanego kasztelana wojnickiego, starego Jaśka z Tęczyna, oddawna wiernego sobie, którego mądrość, wymowa, wiek stateczny i obyczajne cnotliwe, otoczyły go czcią powszechną i zjednały mu szczególne przywiązanie młodej królowej.

Jakoż nie lekkomyślnie podjął się pan wojnicki żadanego rzecznictwa w sądzie wiślickim; Jadwiga albowiem musiała najprzód złożyć przed nim uroczystą przysięgę, jako rzeczywiście nie miała nigdy stosunku z nikim innym, jak tylko z królem Jagiełłą, małżonkiem swoim. Upewnionemu i przekonanemu w ten sposób, wskazywał statut też samą drogę upewnienia i przekonania sędziów, a więc przeparcia oskarżyciela.

Otóż scenę składania przysięgi Jadwigi przed swoim zastępcą Jaśkiem z Tęczyna, przedstawia właśnie obraz Simmlera.

Główną w nim rolę mają cztery naturalnej prawie wielkości figury. W komnacie zamku krakowskiego na pierwszym planie stoi piękna, szlachetna i zajmująca zacością swoją postać sędziwego Jaśka z Tęczyna, z siwą brodą lecz czerstwego i krzepkiego ciała. Trzyma on w ręku bogato oprawną księgę ewangelii. Przed nim w klęczącej postawie, uroczą i jaśniejącą anielską niewinnością, Jadwiga przysięga, kładąc rękę na owj księdze. Obok niej znajdują się: kanonik krakowski Wysz, z twarzą przypominającą arcybiskupa Woronicza, a nieco dalej król Władysław Jagiełło, na którego wyrazistém obliczu spoczywa jeszcze cień nieufności. Wreszcie za Jaśkiem z Tęczyna w półfigurze wygląda chytra, wstrętna twarz Gniewosza, a w oddaleniu grono rycerzy.

Całość jest nadzwyczaj efektowa, największe jednak wrażenie sprawia Jadwiga, która porywa i rozczula widzów rozlaną w całej postaci niewinnością i niewypowiedzianym zachwyca urokiem. Jagiełło, typ ówczesnych litewsko-ruskich władców, portretowany z maski zdjętej z jego grobowca na katedrze krakowskiej. Wszystkie zresztą akcesorya, ubiory, ozdoby i t. d. przekazują wiernie wiek XIV, a wykonane są w najdrobniejszych szczegółach po mistrzowsku.

Jestto bez zaprzeczenia arcydzieło Simmlera. Cena obrazu 12,000 fr. Gdyby kto kupił go za granicą, artysta kładzie warunek, żeby obraz na czas jakiś przesłał do Warszawy, dla przedstawienia go tutejszej publiczności.

## HISTORIA RZYMSKA MOMMSENA.

Zeszyt 1szy tego dzieła pomnikowego już wyszedł, zeszyt 2gi wyjdzie 30 b. m., następne zaś co 10 dni najregularniej wychodzić będą.

Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów czyli zeszytów 36. — Cena rsr. 8. — Prenumerata przyjmuje się po rsr. 1.

Pragnący na prowincyi mieć to dzieło, przysłać raczą pod adresem wydawcy rsr. 4, oraz przy odbiorze zeszytu 12go drugie rsr. 4, a egzemplarze będą sobie mieli przesłane franco.

Józef Unger.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem cenzury.